

# odgłosy



30 (766)  
23. VII. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV**



Fot. E. Kudał

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

## NADZIEJA

Ziemia, która kwitniesz wiosną,  
owocujesz jesienią,  
kocham cię mocno,  
ziemia.

Gdybym miał piorun w garści  
— bóg zagniewany —  
tobie bym rzucił: naści  
lemiesz na twoje lany.

Ziemia ciężarna, ziemia pęczniejąca  
węglem, żelazem, naftą,  
zaklinam cię w imię słońca:  
stań się światło!

Niechaj robotnik, strudzony  
od wieku po wiek,  
powie ziemi rodzonej:  
jestem człowiek.

## WIELKI PROGRAM ODNOWY ŁÓDZI

*Rozmowa z Przewodniczącym Prezydium Rady  
Narodowej m. Łodzi - mgr inż. Jerzym Lorenssem*

— Panie Przewodniczący, czy zechciałby Pan zapoznać naszych Czytelników z założeniami Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi?

— Program obejmuje założenia rozwojowe naszego miasta w latach 1971—1975 oraz w latach następnych. Ustala też wysokość nakładów oraz ramowy plan przebiegu wykonania inwestycji. Ogólnie mówiąc, wykonanie tego szeroko zakreślonego programu, stworzy podstawy do dalszego, szybkiego i efektywnego rozwoju naszego miasta.

Mocą decyzji kierownictwa partii i rządu, Łódź otrzymała, na lata 1971—1975, środki inwestycyjne w wysokości ponad 38 miliardów złotych na rozwój gospodarki miejskiej. Nakłady te są o ponad 50 proc. wyższe od nakładów, przeznaczonych na ten sam cel w ubiegłym planie 5-letnim.

Wykonanie Programu w bieżącym pięcioletniu pozwoli w znacznym stopniu, odrobić opóźnienia i stworzy podstawy do dalszego, dynamicznego rozwoju Łodzi w następnych pięcioletkach. Program nakreśla plany modernizacji, rekonstrukcji i ogólnego rozwoju przemysłu w Ło-

Dalszy ciąg na str. 3



## Operacja „Express”

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

A więc znany jest już konkurent Richarda Nixona do fotela prezydenckiego w listopadowych wyborach. Został nim George McGovern, 49-letni senator z Południowej Dakoty, który na konwencji Partii Demokratycznej otrzymał o 200 głosów więcej, niż wynosi konieczne minimum. Zwycięstwo nie przyszło mu jednak łatwo. „Początkowo próbowali go zignorować — donosi korespondent agencji UPI — następnie go pokonać i wreszcie próbowali zjednoczyć się w spisku przeciw niemu”.

Głównymi rywalami McGoverna w Partii Demokratycznej byli znacznie bardziej od niego znani politycy, senatorzy — Hubert Humphrey i Edmund Muskie. Ten pierwszy był już nawet — za prezydentury Lyndona Johnsona — wiceprezydentem USA.

Cytowany przeze mnie dziennikarz UPI barwnie i bardzo szczegółowo opisuje przebieg konferencji prasowej demokratów, na której oficjalnie ogłoszono o nominacji McGoverna. Jej głównym „bohaterem” był pokonany senator Humphrey, którego ogarnęła niewymowna rozpacz i na oczach zebranych zaczął... płakać. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście Hubert Humphrey tak bardzo przejął się swoją porażką, czy też był to chwyt reklamowy, mający mu zjednać, w następnych wyborach, niewiele serca spod znaku licznych stowarzyszeń współpracujących. Jedno jest pewne — rezygnacje Humphreya i Muskiego na konwencji w Miami Beach zapobiegły rozłamowi w Partii Demokratycznej, co jednak wcale nie oznacza, że zwolennicy obu senatorów poprzę McGoverna. Aby sobie więc zapewnić maksimum głosów wśród wyborców z własnej partii zaproponował on cięszemu się w dalszym ciągu ogromną popularnością Edwardowi Kennedy'emu kandydowanie na stanowisko wiceprezydenta. Jak już wiadomo, propozycja została odrzucona i o wiceprezdynturę ubiegać się będzie 42-letni Thomas Eagleton z Missouri.

Według prognoz amerykańskich biur badania opinii publicznej McGovern i Eagleton mają jedynie 35 proc. szans, żeby wygrać. Szczególnie ostatnio, po wizycie Nixona w Związku Radzieckim i podpisaniu tam porozumienia, sytuacja zmieniła się zdecydowanie na korzyść dotychczasowego prezydenta. Sytuacja może ulec zmianie tylko w tym wypadku, jeżeli McGovern przedstawi program wyborczy do przyjęcia dla większości Amerykanów. Wydaje się jednak, że czegoś podobnego nie jest on w stanie uczynić, choćby dlatego, że społeczeństwo amerykańskie jest politycznie bardzo zróżnicowane.

A jak przedstawia się aktualny program McGoverna? Otóż McGovern widziałby inny podział dochodu narodowego, niż do tej pory, pragnąłby ograniczyć wydatki zbrojeniu i wycofać żołnierzy amerykańskich z Wietnamu. Trzeba jednak pamiętać, że ta ostatnia sprawa nie jest pozytywnym argumentem wyborczym we wszystkich warstwach społeczeństwa USA. Poza tym, w ostatnim czasie, Nixon zaczął znowu „grać” argumentem wietnamskim. Z tego też, między innymi, powodu polecił on podjąć rozmowy paryskie w sprawie zakończenia wojny w Wietnamie.

Przez opinię światową fakt ten został przyjęty z dużym zadowoleniem, chociaż nadal nie wskazuje na szybkie rozwiązanie problemu. Możliwe to będzie tylko wówczas, gdy Amerykanie wyrażą zgodę na polityczne, uwzględniające interesy całego narodu wietnamskiego, rozwiązanie konfliktu, czyli uwzględnią żądania milionów Wietnamczyków, którzy chcą żyć w wolnej, demokratycznej i zjednoczonej ojczyźnie. I takie tylko wyjście z sytuacji przewiduje 7-punktowy plan Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Południowego Wietnamu. Militarne nic nie uda się wskórać, jak to pokazała kilkuletnia rzeczywistość. Co najwyżej będą nowe ofiary w ludziach, spłoną kolejne wioski i legną w gruzach miasta wietnamskie.

Innym — choć znacznie mniejszym — ogniskiem niepokoju jest Irlandia Północna (Ulster), gdzie po 13 dniach rozejmu znowu doszło do walk między protestantami, katolikami, a wojskiem brytyjskim. Są ofiary śmiertelne, a na ulicach Belfastu, Londonderry, Nawry znowu pojawiły się barykady. Wojna domowa w Ulsterze — wbrew propagandzie zachodniej — nie ma charakteru religijnego, lecz społeczno-ekonomiczny. Prawdą jest jednak, że najgorzej sytuowani w tamtejszym społeczeństwie są katolicy. Na to złożyło się wiele przyczyn, a przede wszystkim brak tolerancji religijnej Anglików, którzy w XIV wieku skolonizowali ten kraj.

Irlandia Północna jest kolejnym przykładem tego, że we współczesnym świecie militarną siłą nie można wszystkiego zatłoczyć. Aby i tam zapanował spokój muszą ulec likwidacji obozy internowanych, trzeba będzie ogłosić amnestię, wycofać wojska brytyjskie, zapewnić prawa wyborcze i obywatelskie ubogiej części społeczeństwa Ulsteru oraz uzdrowić sytuację ekonomiczną. Zarobki są tu bowiem o 30 proc. niższe, niż w pozostałych częściach Zjednoczonego Królestwa, szerzy się również bezrobocie. Bez spełnienia tych warunków może dojść co prawda do kolejnych zawieszek broni, ale na pewno nie do wygaśnięcia wojny domowej.

MAREK REGEL

Już ponad dziesięć tygodni trwają zacięte walki na przedpolach Hue, An Loc i w prowincji Kon Tum. Wynika z tego — twierdzi dowództwo amerykańskie w Sajgonie — iż podjęte przez komunistów uderzenia nie osiągnęły zamierzonych celów. Jednocześnie przemilcza się fakt, że komunistów w Wietnamie odnieśli zwycięstwo o wyjątkowym znaczeniu: sprowadziło do zera wszystkie wysiłki Stanów Zjednoczonych i sajgońskiej administracji w „pacyfikacji” kraju. W takich prowincjach, jak Binh Dinh, Kon Tum, Pleiku, Binh Long i Tay Ninh, a także w delcie Mekongu, pozycje Sajgonu zostały przerwane. Te sukcesy komunistów mogą mieć decydujące znaczenie.

W czasie, gdy program „pacyfikacji” reklamowano jako nader pożyteczny, wielu ludzi w Stanach Zjednoczonych uważało go, myląc się oczywiście gruntownie, za pewnego rodzaju filantropię.

W rzeczywistości wojna o „serca i umysły” Wietnamczyków była czymś zupełnie innym.

### Z ZIMNĄ KRWIĄ

Dziś już wszyscy wiedzą, że program „pacyfikacji”, prowadzony przy nieograniczonym ogniomym wsparciu Amerykanów kosztował życie tysiące spokojnych obywateli kraju. Istnieją szczegółowe dane dokumentalne, z których wynika, iż amerykańskie siły zbrojne unicestwiły z zimną krwią tysiące spokojnych obywateli Wietnamu.

Jest to poważne oskarżenie! Ale nawet i te niewielkie wątpliwości, które jeszcze miałem, pierzchyły po szczegółowym zbadaniu wydarzeń, którym towarzyszył jeden z najbardziej typowych epizodów w historii „pacyfikacji” Wietnamu. W końcu 1968 roku, dowództwo amerykańskie w Sajgonie opracowało „przyspieszony” program „pacyfikacji”. Do przeprowadzenia tej kampanii wydzielono IX dywizję piechoty, która już od pół roku tkwiła po uszy w operacji pod kryptonimem „Express”. Przeprowadzono ją w prowincji Khen Hoa.

Spędziłem w tej prowincji kilka tygodni, zbierając szczegółowe dokumenty, dotyczące się operacji militarnej armii amerykańskiej. Udało mi się stwierdzić, iż w trakcie tej akcji żołnierze amerykańscy pozbawili życia, mniej więcej, pięć tysięcy cywilnych Wietnamczyków, pacyfikując Khen Hoa. Rozmiary zabójstw w tej prowincji przyćmiewają wszystko, co tylko nam wiadomo o krwawej łaźni w Song My.

Do czasu, gdy rozpoczęto operację „Express” prowincja Khen Hoa była już od długiego czasu twierdzą Narodowego Frontu Wyzwolenia Południowego Wietnamu. Nawiasem mówiąc, wielu przywódców NFWPW wywodzi się z tej prowincji. Dzieci żołnierzy Vietcongu uczyły się w szkołach NFWPW, wieśniacy uprawiali ryż, starcy leczyli się w szpitalach NFWPW. Tysiące rodzin żyło tutaj od wieków, uprawiając żyzne równiny Khen Hoa. Ale dla amerykańskiego dowództwa terytorium, kontrolowane przez Vietcong było tylko „strefą wojenną”, w której należy strzelać do każdej żywej istoty. Miejscową ludność uważaną za sojusznika Vietcongu, można było uznać za obywateli tego kraju, dopie-

żołnierzy Vietcongu i partyzantów nie ma broni”.

Pierwsze wyjaśnienie jest co najmniej kłamstwem, drugie — wymysłem. Pow szechnie wiadomo, że nie uzbrojonych żołnierzy Vietcongu w ogóle nie ma. Jeśli zaś chodzi o cywilnych obywateli kraju, to rzeczywistość, nie noszą oni broni, a wielka różnica między ilością zdobytych karabinów a ilością zabitych może świadczyć tylko o tym, że żołnierze amerykańscy zabili tysiące Bogu ducha winnych ludzi.

Statystyka, prowadzona w Szpitalu Bienhe jest potwornym świadectwem strat, jakie poniosła ludność cywilna w wyniku działań armii amerykańskiej. Szpital, który odwiedziłem, obsługuje niewielki rejon i przywożą tutaj tylko część rannych. „Większość rannych — powiedział mi oficer dowództwa amerykańskiego — nie trafia do szpitala, umiera w drodze”. A jednak w czasie operacji „Express” przez szpital w Bienhe przeszło 1.882 rannych Wietnamczyków. Prawie wszyscy padli ofiarą strzelaniny amerykańskiej piechoty i lotnictwa.

Pozostali przy życiu mieszkańcy Khen Hoa ze zgrozą wspominają czas, kiedy amerykańscy żołnierze przeprowadzali „pacyfikację” prowincji. Niemal wszyscy moi rozmówcy, tak lub inaczej, ucierpieli w wyniku bojowych działań armii amerykańskiej.

— Przedtem nasza wieś liczyła pięć tysięcy mieszkańców. Dziś nie pozostał ani jeden, i wsi też nie ma” — powiedział mi starosta pewnej wsi. — Amerykanie zniszczyli wszystkie domy granatami i bombardowaniem z powietrza. Żołnierze podpalali nasze chaty. Ponad stu ludzi postrądzono życie, wielu raniono, pozostali uciekli. Zginęło wiele dzieci...”

Takie, lub bardzo podobne, opowieści słyszałem w każdej wsi: tutaj zabito stu ludzi, tam — dwustu... Pewien starzec powiedział mi: „Amerykanie zabili kilku partyzantów, ale najwięcej ofiar było wśród ludności cywilnej”. Ile ludzi zginęło? Na to pytanie odpowiedzieć nie sposób. Amerykanin z długim stażem służby wojskowej w Wietnamie powiedział

### „DYWIZJA DZIAŁAŁA WSPANIALE”

Ale nie tylko ilość zabitych wzbudza podejrzenia. Jeszcze bardziej podejrzana jest ilość zdobytej broni: prawie 11 tysięcy zabitych i zaledwie 748 karabinów i automatów. Jeden z oficerów IX Dywizji opowiada mi, że „żołnierze Vietcongu zabijają, no, nim zdążyli chwycić za broń”. Przedstawiciel dowództwa wojsk amerykańskich mówi znowu, że „wielu



Fragment placu im. N. Barlickiego

Fot. W. PARYS



# Wielki program odnowy Łodzi

DALSZY CIĄG ROZMOWY  
Z PRZEWODNICZĄCYM PREZYDIUM  
RADY NARODOWEJ M. ŁODZI

mgr inż. Jerzym Loreensem

Dalszy ciąg ze str. 1

dzi oraz wytycza kierunki działania w zakresie poprawy warunków pracy załóg. Ale, oczywiście, nie tylko o przemysł tu chodzi, bowiem Program obejmuje także rozbudowę i modernizację miasta, więc budownictwo mieszkaniowe, rozbudowę urządzeń komunalnych, rozwój szkolnictwa wyższego, inwestycje kulturalne i oświatowe, rozwój lecznictwa, usług, handlu itd.

W zakresie budownictwa mieszkaniowego program przewiduje wybudowanie minimum 140 tysięcy izb mieszkalnych, przy jednoczesnej poprawie wykonawstwa drogą wprowadzenia nowych technologii, co podniesie jakość i funkcjonalność mieszkań.

Inwestycje przemysłowe obejmują budowę szeregu nowych zakładów produkcyjnych przemysłu lekkiego i maszynowego, takich na przykład, jak Zakłady Dzierwiarskie „Kalina”, w dzielnicy przemysłowej Nowe Sady, kombinatu dziewiarsko-konfekcyjnego „Teofil” na Teofilowie, czasankowej przędzalni „Polanil” na Dąbrowie, fabryki pluszów i dywanów „Tadka Ajzena” na Dąbrowie, zakładów włókien igłowych, kombinatu dziewiarskiego na Dąbrowie, odtworzenie odlewni „Wifama”, odtworzenie zakładów „Elester”, rozbudowę zakładów radiowych „Fonica” i szeregu innych.

Pewna ilość zakładów zostanie zmodernizowana. W programie zakłada się duży rozwój i modernizację przemysłu maszynowego ze szczególnym uwzględnieniem produkcji maszyn włókienniczych. Ta ostatnia gałąź przemysłu ma w Łodzi nader korzystne warunki rozwoju, ale, niestety, tylko w minimalnym stopniu wykorzystane. Stan realizacji Programu w tym zakresie jest dalece niezadowolający i wykazuje duże opóźnienia z winy zainteresowanego resortu, który nie opracował kompleksowego programu rozwoju tej branży.

Jednym z podstawowych elementów, decydujących o skali i dynamice rozwoju miasta jest zaopatrzenie Łodzi w wodę, stąd też tak ważnym problemem jest terminowe wykonanie budowy wodociągu Sulejów — Łódź oraz sieci rozdzielczej wodociągów. Dzięki zmianom w technologii wykonania budowy, wprowadzonym przez grupe ekspertów, powołanych przez Komitet Centralny PZPR, termin przekazania do użytku części I etapu budowy wodociągu w pierwszym kwartale 1974 roku jest realny. Zarzysowuje się więc perspektywa skrócenia całego cyklu wykonania inwestycji o 18 miesięcy. Podejmujemy starania, by termin oddania wodociągu do eksploatacji skrócić jeszcze bardziej.

Dużą pozycję w Programie zajmują plany rozbudowy i budowy ciągów komunikacyjnych, zaplecza techniczno-eksploatacyjnego, zwiększenia ilości taboru pojazdów, usprawnienia całego systemu komunikacji miejskiej, co w znacznym stopniu zaspokoi potrzeby komunikacyjne mieszkańców miasta oraz aglomeracji łódzkiej.

W warunkach generalnej modernizacji przemysłu i przy pełnym rozwoju gospodarki miejskiej, budownictwa, komunikacji, usług itp. ustalony uprzednio bilans energii cieplnej nie zrównoważy szybko narastających potrzeb. Jest to, między innymi, wynikiem wadliwej metodologii planowania oraz wadliwego bilansowania potrzeb, bez uwzględniania z góry zakładanych rezerw z mocy źródeł energii. Wspólnie z resortem górnictwa i energetyki podjęliśmy wysiłek, by stworzyć warunki dla uruchomienia budowy FC IV a także zakończenia rozbudowy EC II oraz zakończenia budowy EC Łódź III. Dzięki temu uda się uniknąć groźącego niedoboru ciepła dla ogrzewania nowych dzielnic mieszkaniowych, tak również dla potrzeb nowych i modernizowanych zakładów produkcyjnych, głównie przemysłu lekkiego.

— Jak na tle rozwoju inwestycji przemysłowych, budownictwa mieszkaniowego, urządzeń komunalnych i in., przedstawia się program rozwoju zaplecza socjalno-kulturalnego?

— Tylko resort przemysłu lekkiego przedłożył kompleksowy program poprawy warunków pracy i dalszego rozwoju bazy socjalno-kulturalnej i rekreacyjnej. Inne resorty nie przedstawiły jeszcze takich projektów. Podkreślam to szczególnie mocno, ponieważ brak ich uniemożliwia integrację środków i wysiłków w zakresie rozbudowy bazy socjalno-kulturalnej oraz ich konfrontacji z założeniami Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi, jak również ich realizacji.

Na poprawę warunków pracy i urzędzenia socjalne dla załóg zakładów pracy, w latach 1971—1975, przeznaczają się z nakładów inwestycyjnych kwotę 900 milionów złotych oraz z nakładów na kapitalne remonty kwotę około pół-

tora miliarda złotych. W sumie: 2 miliardy 400 milionów złotych, nie licząc innych źródeł finansowania.

— Czy w ramach tych środków mieści się także rozwój bazy rekreacyjnej?

— Tak. W tym dziale Program zakłada budowę nowych, i rozbudowę już istniejących, ośrodków wypoczynkowych dla załóg zakładów pracy i ich rodzin, zarówno w mieście, jak i poza miastem. Przewiduje także wydatne polepszenie warunków w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy oraz warunków wypoczynku w samych zakładach pracy, dzięki takim inwestycjom, jak boiska sportowe, ogródki działkowe, baseny, zielone tereny przyfabryczne itp. Plany tego działu programu obejmują jeszcze rozwój lecznictwa, więc, między innymi, budowę kilku przychodni międzyzakładowych i przyzakładowych, a także rozbudowę i modernizację wielu innych placówek służby zdrowia.

Dużą pozycję w Programie Rozwoju i Modernizacji Łodzi zajmują inwestycje na potrzeby wyższych uczelni. W latach 1971—1973 powstaną nowe obiekty budowlane dla potrzeb Instytutu Fizyki, Instytutu Chemii, Instytutu Papiernictwa, Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, zostaną rozbudowane obiekty Wydziału Chemii Spożywczej PŁ, Wydziału Budownictwa Lądowego PŁ, rozpocznie się budowę szpitala klinicznego Akademii Medycznej i inne. Oczywiście nie sposób wymienić tu wszystkich ważnych pozycji Programu. Wymieniłem zaledwie część najważniejszych.

— Jaki jest podstawowy cel wykonania tego wielkiego programu odnowy Łodzi?

— Realizacja wytycznych VI Zjazdu partii, i co za tym idzie — wzrost poziomu życiowego mieszkańców naszego miasta, wydatna poprawa warunków socjalno-bytowych oraz stworzenie solidnych podstaw do dalszego, intensywnego i harmonijnego rozwoju Łodzi i całego zespołu miejskiego.

Program, szeroko rzecz ujmując, jest integralną częścią planu rozwoju całego kraju i wypływa z polityki społeczno-ekonomicznej naszej partii, zmierzającej do systematycznej poprawy warunków bytowych, socjalnych i kulturalnych ludzi pracy.

Pełne i terminowe wykonanie zadań Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi będzie wymagało dużego wysiłku całego łódzkiego społeczeństwa. Już dziś mogę powiedzieć, że łodzianie traktują realizację tego wielkiego Pro-



Fot. J. GŁOWACKI

gramu odnowy miasta, jako sprawę własną, sprawę osobistych ambicji. Świadczą o tym dotychczasowe wyniki wykonania planów produkcyjnych i inwestycyjnych, skala zobowiązań załóg łódzkich zakładów pracy w Akcji Dwudziestu Miliardów. Łodzianie zobowiązali się do wykonania dodatkowej produkcji o wartości ponad miliarda złotych i do czerwca br. zobowiązania te wykonali już w pięćdziesięciu procentach.

— Czy środki przeznaczone na wykonanie Programu są wystarczające?

— Są to poważne sumy. Jednakże potrzeby naszego miasta są także ogromne. Wskutek zaniedbań w minionym okresie, nagromadziło się mnóstwo opóźnień w rozwoju Łodzi, we wszystkich dziedzinach gospodarki miejskiej. Dzięki tymi środkom odrobimy wiele zaległości.

— Tak szerokiego programu odnowy Łódź nigdy jeszcze nie miała. Jego wykonanie wymaga nowatorskich rozwiązań organizacyjnych, technicznych itp. Jakie inicjatywy podjęto, by zabezpieczyć pełne i terminowe wykonanie nakreślonych zadań?

— Zaczniemy od tego, że już podczas wstępnych opracowań Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi wyłonili się przeróżne trudności. Wobec tego, uchwałą Rady Ministrów, do kontroli wykonania Programu, powołano Zespół Koordynacyjny do Spraw Rozwoju i Modernizacji Łodzi pod przewodnictwem min. Szyra. Zespół ten jest niejako przedłużeniem działania Komisji Partyjno-Rządowej do Spraw Opracowania i Realizacji Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi.

W skład Zespołu wchodzi przedstawiciel Komitetu Centralnego i Komitetu Łódzkiego PZPR, Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, przedstawiciele resortów: budownictwa, przemysłu lekkiego, energetycznego, gospodarki komunalnej i maszynowego oraz prezydium WRN i Rady Narodowej m. Łodzi. W pracach tego zespołu biorą także udział stali przedstawiciele WKZZ w Łodzi, NOT i Narodowego Banku Polskiego. Jest to więc ciało, które usuwa najtrudniejsze przeszkody i czuwa nad terminową realizacją opracowanych planów. Zatrzymałem się nad tym nieco dłużej, żeby podkreślić szczególną rolę, jaką odgrywa ten Zespół w dziele odnowy Łodzi.

Teraz, jeśli chodzi o inicjatywy, zmierzające do usprawnienia pracy. Otóż wprowadziliśmy już, i wprowadzamy nadal, wiele zmian w systemach organizacyjnych. Jedne już owocują, na bieżąco, inne stwarzają perspektywę lepszej, wydajniejszej pracy w najbliższej przyszłości. Jesteśmy w trakcie reorganizacji biur projektowych i przedsiębiorstw wykonawstwa inwestycyjnego. Ogromna dynamika wzrostu inwestycji wymaga niezwykle sprawnego i precyzyjnego współdziałania biur projektowych, aparatu inwestorskiego i wykonawców.

Dążąc do zapewnienia odpowiedniej bazy produkcyjnej, powołujemy nowe instytucje wykonawstwa budowlanego, jak na przykład Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich, Przedsiębiorstwo Robót Wodno-Inżynierskich „Hydrobudowa-Łódź” oraz Przedsiębiorstwo Robót Kolejowych. Już w najbliższym czasie utworzymy również nowe przedsiębiorstwa budownictwa komunalnego. Uruchomienie tych przedsiębiorstw złagodzi występujące napięcia w wykonywaniu planów inwestycyjnych.

Opracowujemy nowy, rozwojowy model organizacyjny zaplecza technicznego, który zakłada integrację i specjalizację produkcji w zakładach produkcji pomocniczej.

Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa zostało zobowiązane do kompleksowego opracowania organizacji, koncentracji i specjalizacji budownictwa. Ustalono kierunki rozwoju biur projektowych, głównie „Miastoprojektu” i ich specjalizacji. Wprowadzamy już w życie nowy system uproszczeń dokumentacji przy adaptowaniu budynków mieszkalnych, opartej na Wojewódzkim Zestawie Projektów.

Specjalistom z Łódzkiego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego zlecono opracowanie kompleksowego modelu organizacji i zarządzania nowoczesną dzielnicą magazynowo-przemysłową, od fazy programowania, poprzez budowę, aż do eksploatacji włącznie.

Powołaliśmy do życia Biuro Studiów i Projektów Inżynierii i Komunikacji Miejskiej, co, w powiązaniu z innymi zespołami, stworzy warunki do utworzenia, w 1973 roku, Biura Planowania Rozwoju Miasta. Polepszy to, w wydatnym stopniu, warunki organizacyjno-techniczne w zakresie programowania, planowania i koordynowania prac, związanych z przestrzennym i gospodarczym rozwojem Łodzi i aglomeracji miejskiej.

Widzimy potrzebę nieustannego doskonalenia systemu zarządzania i kierowania administracją i gospodarką terenową. Mamy jeszcze w tej dziedzinie duże braki i będziemy je na bieżąco usuwać. Sprawą dużej wagi jest wzmocnienie dyscypliny pracy i w tym kierunku podjęliśmy już szereg decyzji.

Zmiany te, i zresztą szereg innych, o których nie wspominałem, spowodowały konieczność wzmocnienia kadrowego poszczególnych wydziałów i jednostek, podporządkowanych Prezydium Rady Narodowej.

— Wykonanie Programu wymaga oczywiście odpowiedniej siły roboczej. Czy Łódź będzie miała wystarczającą ilość rąk do pracy, by móc sprostać temu zadaniu?

— Tak, przede wszystkim przez wyzwalanie rezerw, więc usprawnianie organizacji pracy, mechanizację robót, na przykład robót ziemnych, wprowadzanie nowoczesnego sprzętu budowlanego, zwiększenie dyscypliny pracy, a także stwarzanie atrakcyjnych warunków pracy w budownictwie, gospodarce komunalnej, usługach itd. Do pracy będziemy, rzecz jasna, angażować także robotników i fachowców spoza Łodzi, przede wszystkim młodzież, wchodzącą w wiek produkcyjny.

— I ostatnie pytanie: Najważniejsze zamierzenia na lata 1976-80?

— Następane pięćlecie będzie kontynuacją zadań Programu. Więc przede wszystkim dalsza modernizacja i rekonstrukcja przemysłu lekkiego, chemicznego i maszynowego, ze szczególnym akcentem na produkcję maszyn włókienniczych.

Nieustanne dążenie do zapewnienia dobrych warunków pracy, do poszerzenia bazy socjalno-bytowej i rekreacyjno-wypoczynkowej załóg zakładów pracy oraz rozbudowy instytucji kulturalnych, naukowych i oświatowych, budownictwa mieszkaniowego i rozwój gospodarki komunalnej oraz usług — będą nadal dominować w planach pięćlecia 1976-80.

W latach 1976-80 ludność miasta wzrośnie do ok. 630 tysięcy mieszkańców. W związku z tym program budownictwa mieszkaniowego będzie mocno napięty. Powstaną nowe osiedla: Widzew-Wschód, Henryków, Retkinia-Zachód i Teofilów D. Osiedla, budowane w latach 1971-75, będą rozbudowywane, podobnie jak i śródmieście. Wytyczne planu na lata 1976-80 w zakresie gospodarki mieszkaniowej przewidują uzyskanie wskaźnika: jedna osoba na jedną izbę. Dlatego też trzeba będzie wybudować co najmniej 65 tysięcy mieszkań.

W centrum uwagi pozostanie przebudowa i rozbudowa układów komunikacji miejskiej, ze szczególnym uwzględnieniem arterii tranzytowych i węzłów drogowych. Plany zakładają dalszy rozwój środków komunikacji pasażerskiej — tramwajowej, autobusowej oraz kolejowej, budowę nowych przebiegów bezkolizyjnych dla pieszych, parkingów, garaży, stacji obsługi samochodów itp. W przyszłym planie pięcioletnim łódzka obwodnica kolejowa powinna już być włączona do systemu komunikacji miejskiej. Przewiduje się też reaktywowanie połączeń lotniczych z Łodzią.

Zostaną utrzymane te same kierunki rozwoju przemysłu. Pewna część inwestycji przemysłowych, zapoczątkowanych w bieżącym pięcioletniu rozpocznie produkcję po roku 1975. Dlatego przyjmujemy, iż tempo wzrostu produkcji będzie większe w latach 1976-80, niż w latach 1971-75, a produkcja globalna w latach 1976-80 wzrośnie o około 50 procent w porównaniu z poprzednim planem pięcioletnim. Nowe inwestycje przemysłowe będą lokalizowane na Dąbrowie, Teofilowie, Nowych Sadach, Radogoszczu, nowo powstającej dzielnicy przemysłowej „Smulsko” i in.

Na początku przyszłego pięcioletnia zostanie zakończona budowa pierwszego etapu inwestycji sulejowskiej i rozpocznie się budowa następnego etapu wodociągu. Dzięki temu sieć wodociągowa, około 1980 roku, zwiększy się o dalszych 200 kilometrów bieżących i już blisko 92 proc. mieszkańców miasta będzie korzystać z wodociągu miejskiego w obrębie posesji.

Wielką inwestycją będzie budowa drugiego etapu nowej elektrociepłowni EC-IV oraz końcowe prace przy rozbudowie EC-III.

Oczywiście w dalszym ciągu będzie budowane i rekonstruowane Centrum i Śródmieście, rozbudowywane dworce kolejowe — Fabryczny i Kaliski. W budowie jest i nadal będzie realizowanych szereg obiektów, tworzących centrum ogólnousługowe Łodzi.

W latach realizacji planu 1976-80 będzie już bardziej widoczny plastyczny obraz nowoczesnej Łodzi.

— Dziękuję za rozmowę.

Notował: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI



# Lipiec 1944 - przypomnienie

Perspektywa więcej niż ćwierćwiecza, jakie upłynęło od tamtych chwil, zatarła w ludzkiej pamięci wiele z dramatyizmu stawania się dziejów. Powołanie do życia organu, który by w imieniu sił polskiej lewicy objął władzę na wyzwolonych obszarach Polski doznało się w sytuacji, kiedy każda chwila była droga, a walka o najwyższą stawkę — o przyszły kształt społeczny i polityczny odrodzonej polskiej państwowości — wkraczała w decydującą fazę. Przypomnijmy sobie chronologiczny ciąg wydarzeń.

18 LIPCA 1944 — narada członków delegacji KRN i prezydium ZG ZPP, na której dyskutowano przygotowany przez kierownictwo Biura Komunistów memoriał o utworzeniu polskiego rządu tymczasowego. Postanowiono powołać do życia Delegaturę KRN dla Terenów Wyzwolonych, której skład miał być dość szeroki, bowiem traktowano ją jako „ukrytą formę powołania rządu tymczasowego”. O jawnej nie było mowy ze względu na sytuację międzynarodową.

19 LIPCA — przedstawiciele Delegatury zostali przyjęci przez J. W. Stalina i W. Molotowa, ustalono przystąpienie do opracowania układu, określającego stosunki między polską administracją i głównodowodzącym radzieckich sił zbrojnych, wzorowanego na wcześniejszym porozumieniu radziecko-czechosłowackim, zawartym w Londynie 8 maja.

20 LIPCA — posiedzenie Delegatury (w rozszerzonym składzie) uchwała zredagowanie manifestu, który będzie ogłoszony w pierwszym wyzwolonym polskim mieście i powołuje do tego celu komisję, ponadto dyskutuje i postanawia powołanie organu prasowego — „Rzeczypospolitej”. Powołuje komisję: do opracowania tekstu porozumienia z władzami radzieckimi oraz do spraw gospodarczych.

Tego samego dnia wieczorem — po przeprowadzeniu konsultacji z rządem ZSRR postanowiono silnie zaakcentować państwowy i międzynarodowy charakter tworzonej władzy. Zrezygnowano z nazwy Delegatury i po dyskusji przyjęto nową, znacznie więcej mówiącą: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. W porównaniu z Delegaturą, jego skład miał być rozszerzony o kilka osób spośród polskich działaczy z ZSRR oraz pięć osób z terenów, które znajdowały się jeszcze pod niemiecką okupacją; później z tej ostatniej koncepcji zrezygnowano. Ponieważ nie można było szybko porozumieć się z Prezydium KRN opracowano na miejscu ustawę o powołaniu PKWN, którą KRN następnie zatwierdziła.

Ustawa nosi datę 21 LIPCA i wymienia 15 członków PKWN, z

których pięciu było członkami PPR, trzech PPS, czterech SL, jeden SD, dwóch bezpartyjnych. Dzień 21 lipca prócz opracowania ustawy poświęcono na pracę nad zredagowaniem Manifestu PKWN. Zajęła się tym komisja, której przewodniczył Jerzy Borejsza. Rozpatrywano dwa projekty tego dokumentu, przedłożone przez Stefana Wierbłowskiego i Bolesława Drobniera. Podstawą do dyskusji stał się projekt pierwszy, w znacznej mierze oparty o tekst projektu deklaracji programowej, opracowanej niedługo przed śmiercią przez Alfreda Lampego. Przyjęty ostatecznie po długiej dyskusji, w której zaznaczyły się różnice zdań co do niektórych istotnych problemów, tekst Manifestu PKWN przejął wiele sformułowań z tekstu projektu Lampego, dotyczących stosunków Polski z sąsiadem wschodnim, polityki społecznej i gospodarczej oraz innych spraw.

Zaakceptowany przez Komisję tekst Manifestu został przedłożony PKWN dnia 22 LIPCA i po nowej dyskusji nastąpiło jego uchwalenie. Jak wiadomo, tekst dokumentu został natychmiast odesłany do polowej drukarni, bowiem miał się ukazać już następnego dnia — 23 lipca — na łamach „Rzeczypospolitej”. Jako miejsce wydania Manifestu PKWN podano Chelm, wyzwolony przez Armię Czerwoną 22 lipca (niekiedy podaje się mylnie, że 20 lub 21 tego miesiąca), pierwsze polskie miasto, które znalazło się pod władzą Komitetu. Manifest i komunikat o powstaniu PKWN zostały odczytane przed mikrofonami radiowymi w Moskwie w audycji ZPP jeszcze dnia 22 lipca o godzinie 8.15 czasu wschodnioeuropejskiego.

NASTĘPNEGO DNIA, 23 LIPCA, po raz pierwszy nazwa PKWN pojawiła się w korespondencji dyplomatycznej. Przewodniczącą Rady Ministrów ZSRR J. Stalin w odpowiedzi na depeszę brytyjskiego premiera W. Churchilla w sprawie ewentualnego przyjazdu Mikołajczyka do Moskwy oświadczył, że byłoby najlepiej, gdyby przedstawiciel emigracji porozumiał się z powstałym właśnie PKWN. Tego samego dnia PKWN zatwierdził tekst

porozumienia między naczelnym wodzem wojsk radzieckich a polską administracją.

25 LIPCA został ustalony przebieg granicy i podpisano w tej sprawie porozumienie.

26 LIPCA E. Osóbka-Morawski i W. Molotow położyli swoje podpisy pod „Porozumieniem między PKWN i Rządem ZSRR o stosunkach między radzieckim Wodzem Naczelnym a polską administracją po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski”. W nocy z 26 na 27 lipca odbył się uroczysty bankiet pożegnalny, wydany przez rząd radziecki na cześć PKWN, po którym dwoma Douglasami strzeżonymi przez eskadry myśliwców Komitet przybył do Chelma.

„W Chelmie wskazano nam tylko budynek — przytoczmy tu za historykiem fragment wspomnień E. Osóbki-Morawskiego — w którym był miejscowy Urząd Skarbowy, i budynek na tymczasowe mieszkania członków PKWN i jego urzędników. Budynek Urzędu Skarbowego był splądrowany, szafy porozbijane, akta w poniewierce walają się po pokojach i korytarzach. Nie rozporządzano żadnym jeszcze personelem sprzątaczk, ani żadną gotówką na ich wynajęcie spośród miejscowej ludności. Członkowie PKWN i ich urzędnicy w liczbie kilkunastu osób sami chwycili za mioty i szczytki i porządkowali pokoje na biura i ustawiali w nich biurka, szafy, krzesła”. Wielkie sprawy przeplatały się z małymi: ponieważ PKWN był bez grosza a nie chcieli uciekać się do rekwiizycji, przez pierwsze tygodnie opędzał wszystkie wydatki osobliwą walutą, którą były... drożdże, wykorzystując ogromną różnicę cen urzędowej i wolnorynkowej, wynoszącą 980 zł. „Operacje z drożdżami — stwierdzi później E. Osóbka-Morawski — stanowiły przez kilka tygodni główne źródło środków finansowych do kasy PKWN”. W tej też walucie udzielono pierwszych dotacji organizacjom społecznym, a historyk tych dni odnalazł po latach nawet urzędowe pismo jednego z resortów „z prośbą o przydział 50 kg drożdży na zakup maszyny do pisania”. Zastana w Chelmie podporządkowana Londynowi rada miejska po wezwaniu ze strony przewodniczącego PKWN — 28 lipca wieczorem rozwiązała się, nie stawiając oporu. W przyszłości nie zawsze tak jednak będzie.

Oto jeden chronologiczny ciąg wydarzeń, znanych dziś stosunkowo dokładnie dzięki relacjom ich świadków i aktorów oraz pracy współczesnych historyków. Jest jednak i drugi, bez którego ten, któryśmy tu zarysowali w największym skrócie, jest niezrozumiały. W 1943 r. dozwolono AK w porozumieniu i uzgodnieniu z londyńskim rządem emigracyjnym przystąpiło do przygotowania planu „Burza”, którego celem było przechwycenie władzy w Polsce w momencie wkraczania wojsk radzieckich. Bór-Komorowski rozkazywał — jak wynika to z jego depeszy do Sosnkowskiego z 26 listopada 1943

— aby „wobec wkraczającej na ziemie nasze regularnej armii rosyjskiej wystąpić w roli gospodarza”. W pełni podzielał to stanowisko emigracyjny rząd w Londynie, solidaryzując się ze staraniami, „aby wobec wkraczających na ziemie polskie Rosjan reprezentować Rzeczpospolitą” (z depeszy Sosnkowskiego do Bora, 26 listopada).

Nie miejsce tutaj na dokładne referowanie wszystkich niuansów gry politycznej prowadzonej przez środowiska emigracyjne i ich krajowe ekspozytury, znanych stosunkowo dokładnie i omówionych przez historyków. W każdym razie przygotowania, aby w stosunku do wkraczającego do Polski wojska radzieckiego i ludowej armii polskiej wystąpić w roli sprawujących już władzę gospodarzy były bardzo daleko posunięte. Poważnie rozbudowano sieć podziemnej administracji cywilnej, podporządkowanej jednolitemu kierownictwu delegata rządu na kraj, obsadzono wszystkie stanowiska od wojewodów do wójtów i sołtysów, utworzono policynię Państwowy Korpus Bezpieczeństwa z myślą o przeciwnikach politycznych. W kwietniu 1944 ukazał się dekret o mianowaniu delegata krajowego zastępcą prezesa Rady Ministrów, w którym określano jako cel jego działalności m. in. „poczynienie koniecznych przygotowań do objęcia we właściwym czasie jawnej władzy”. Ta linia polityczna doprowadziła do podjęcia decyzji o powstaniu w Warszawie, o którym myślano zrazu — jak depeszował Mikołajczyk do delegata Jankowskiego 4 lipca 1944, po rozmowach z Kukielem i Sosnkowskim — jako o ewentualnym „częściowym powstaniu, gdzie by władzę przed przyjściem Sowietów objęli Delegat Rządu i Komendant Armii Krajowej”. Przejmowanie władzy planowano dokonywać sukcesywnie, w miarę wyzwolenia poszczególnych ośrodków spod okupacji, przy czym polityczne agendy rządu londyńskiego gotowały się do stłumienia siłą wszelkich objawów — jak się wyrażano „anarchii”. Z depeszy Bora z 17 czerwca 1944 wiadomo, że myślano już o specjalnych obozach „odosobnienia” przeznaczonych dla „elementów wyrotowych, niebezpiecznych dla państwa”, zastanawiano się nad tym, jakie mają w nich panować porządki itd. Nie rokowało to nadziei na polityczną sielankę. Dnia 26 lipca, na wiadomość o utworzeniu PKWN, powołana została Krajowa Rada Ministrów na mocy uchwały, którą antydatowano na... 3 maja.

Dosyć tych szczegółów. Czas wyzwalania ziem polskich spod hitlerowskiej okupacji otwierał nowy okres walki o kształt odrodzonego polskiego państwa. Projekty i plany, wielkie zamierzenia, trzeba było teraz wprowadzać w czyn. Rozpoczynała się socjalistyczna rewolucja w naszym kraju. U jej początków był PKWN. Władza ani przez chwilę nie leżała na ulicy, trzeba było stoczyć o nią walkę.

Dla ogarnięcia rozmiarów tego co jest, trzeba by przypomnieć to co było. Cudem można by nazwać spyanie na głębi, nigdy nie uprawianą, ziarną, które natychmiast wydawało wspaniałe owoce. Mrzonkami nazywano zamiary powołania wbrew obiektywnym warunkom — wyższych uczelni w Łodzi. Przymierzono siły do zamiarów, mając za punkt wyjścia jedyną rzecz: rewolucyjne zmiany, otwierające przed narodem nową epokę dziejową. W budowie fundamentów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej znalazło się miejsce dla ziszczenia dawnych, bezowocnych staran władz miejskich o posiadanie własnej wyższej uczelni uniwersyteckiej lub politechniki. Oddział Wolnej Wszechnicy był jedyną zdobyczą robotniczego miasta lat międzywojennych, a uporczywe starania o jego rozwój, o powołanie Wydziału Lekarskiego w Łodzi jako filii Uniwersytetu Poznańskiego — przerwała wojna.

\* \* \*

Niemal następnego dnia po wyzwoleniu naszego miasta, kiedy jeszcze lała się krew w bojach o zwycięstwo nad hitleryzmem — w Łodzi toczyły się już debaty nad organizowaniem uniwersytetu, politechniki i innych wyższych uczelni.

24 maja 1945 r. jest data historyczną w dziejach miasta. W tym dniu został powołany do życia Uniwersytet Łódzki wraz z wydziałami lekarskim, farmaceutycznym i stomatologicznym, w tym dniu rozpoczęła pracę Politechnika Łódzka.

Dziwno to były uczelnie. Żyły w warunkach wielkiej improwizacji: zasłane entuzjazmem liczne grupy uczonych i nauczycieli akademickich, którzy w owym czasie znaleźli schronienie w Łodzi, przybywając ze zniszczonej stolicy, innych miast, z obozów zagłady i przymusowej pracy, z wojennej tułaczki po świecie...

Nie było rzeczy niemożliwych, nie było trudności nie do pokonania. Na otwarcie uczelni czekały już tysiące młodych ludzi, spragnionych wiedzy. Dziwna była to społeczność studencka. Obok młodzieńców siedzieli ludzie dojrzały, obok cudem ocalałych z zagłady w obozach lub więzieniach znajdowali się absolwenci szkół tajnego nauczania — prawie dzieci i maturzyści z lat przedwojennych. Siadali w zimnych salach kinowych, teatralnych, fabrycznych i chłonili wykłady. Notatki były podręcznikami, skrypty doradnie pisane przez profesorów — całym majątkiem pomocniczym w studiach. Nie było pra-

Jaki był tamten lipiec? Coś tam się kołace w naszej trzydziestoletniej pamięci — ale jaki był naprawdę i dokładnie? W lipcowe święto zawsze odszukujemy ludzi, którzy w tamten lipiec wchodzili już z bagażem lat, z życiowym i politycznym dorobkiem — z dojrzałą wówczas pamięcią.

Z tych impresji wyłania się nam lipiec radosny, ale i trudny. Lipiec rodzącego się Państwa.

Tym razem obrazu tamtego lipca szukaliśmy w pamiętnikarskich zapisach.

## Pierwsze dni wolności

(...) Pod koniec lipca 1944 znalazłem się w gromadce ludzi wysiadających z samolotu, co prawda pasażerskiego, ale na wojskowym, zamaskowanym lotnisku pod Chelmem Lubelskim. Najpierw, rozprostowując nogi, rzeczowo przyjrzałem się lotnisku. Panował na nim ruch, ale jednocześnie czuło się troskę o pozory martwoty. Samoloty z ładunkami bomb co pewien czas wylatywały w kierunku na zachód, inne stamtąd wracały, wracały po wykonaniu zadania bojowego. Czuło się też, po dokładniejszym przyjrzeniu się oficerom lotnictwa, stałą obecność dramatycznego napięcia, bo przecież każdego dnia, każdej nocy nie wszystkim wystanym załogom i maszynom udawało się pomyślnie wrócić „do bazy”.

Tak więc w sposób zupełnie odmienny, niż to sobie wymarzyłem, znalazłem się w ojczyźnie (...)

(...) Naszym zadaniem — zadaniem szczerplutkiego początkowo zespołu — było wydawanie „Rzeczypospolitej”, pierwszego po latach okupacji legalnego i regularnego pisma codziennego.

Pracowało się w gmachu przy Krakowskim Przedmieściu, mieszkało się zaś przy Radziwiłłowskiej. Kto tylko miał coś wspólnego ze sprawami kultury i sztuki, to albo tam mieszkał, albo tam bywał na pogawędkach lub choćby zyczajnie na obiadach i kolacjach — bardzo skromnych — w stołówce. Nie więc dziwnego, że po upływie krótkiego czasu w domu tym panowało zagęszczenie, jakiego nie mógłby sobie wymarzyć nawet najbardziej rygorystyczny i odwany od spraw ludzkich kwaterunek.

Ludzi w tej „przejściowej” stolicy, stanowiącej jednocześnie miasto przyfrontowe, ciągle przybywało, a na odbudowę nie było ani czasu, ani możliwości, zresztą czyż trzeba nawet o tym wspominać?!

Na przykład w niedziłym — zimą prawie nie opalonym — pokoju na piętrze przez dłuższy czas, oprócz autora tego szkicu i paru innych osób, reprezentujących rozmaite, nieraz ścierające się poglądy, upodobania a także i zawody, mieszkali: zawsze stateczny i zrównoważony, hermetyczny Julian

Przyboś, poeta Zbigniew Biełkowski, wtedy jeszcze bardzo towarzyski — poeta Stanisław Pięta, przywieziony z Sandomierza; wiecznie szukający okazji do dyskusji, cierpiący na bezzębność i ignorujący potrzebę wypoczynku u innych, Jerzy Kreczmar; ilustrator i karykaturzysta Ignacy Witz...

A kto u nas w okresie od sierpnia 1944 do stycznia 1945 nie nocował? Nie darmo nazywaliśmy nasz pokój „peresylnym punktem”! A więc: Józef Ozga-Michalski (na stole), malarz Jerzy Mierzejewski („na walecie”), poeta w randze kapitana, Adam Ważyk (wewnątrz dwóch zestawionych skórzanych foteli), „specjalista” od broni panczernej, współpracownik pisma jednostek pancernych, Artur Sandauer w olbrzymiej papasze (na podłodze), Tadeusz Peiper na płaszczach. Czy ktoś spał na szafie, tego sobie nie mogę przypomnieć. Ale raczej szafy w pokoju nie było, gdyż nie mieliśmy co w niej wiszać!

(JAN HUSZCZA — „Wspominki nie zawsze frasobliwe”)

\* \* \*

(...) Przez pierwsze dni mieszkaliśmy w kilku na oszklonej werandzie jakiegoś domu koło Spokojnej, prawie naprzeciw gimnazjum, gdzie ulokował się PKWN. Czas

był tak zajęty, że tylko przychodziłem na noc, po ciemku (było za ciemnością) waliłem się na łóżko, wstawiałem w słońcu. W kącie podwórka, ogromna sterta wysmukłych butelek reńskiego wina, wytrąbionych przez Niemców. Jakiś nalot.

W tym pierwszym okresie żyliśmy w stadium „komunizmu pierwotnego”. Była np. tylko jedna stołówka, też w sąsiedztwie. W chwili wydawania obiadów tłum ludzi zalegał trawniki. Siadano do długich stołów, bodaj na ławkach, a może krzesłach, które czasem trzeba było ze sobą przynosić. Jedli tu wszyscy — od szoferów ciężarówek po święto upieczonych ministrów. Ci mieli teoretycznie prawo do osobnego stołu, gdzie, teoretycznie, obsługiwano poza kolejką. Ale w praktyce nacisk czekających był tak wielki, że byle puste miejsce brano szturmem, niezależnie od rangi.

Zjadłem tu kiedyś obiad koło niewysokiego człowieka o ciemnych włosach, niewielkich wąsikach i dobronudnym, nieco zmęczonym spojrzeniu. Nie miałem pojęcia, co za jeden. Ale widzę, że po obiedzie rozmawia z moim pewnym znajomym, a potem zepchnięty przez falę ciągnących, schodzi ze ścieżki na trawnik.

Pytam znajomego, kto to. — Jak to, to przecież Bierut! Jeszcześmy nie umieli drukować



cowni, laboratoriów, aparatury. Prywatne apteki łódzkie pełniły rolę pracowni chemicznych, oddziały miejskich szpitali — funkcje klinik. Uroczysta inauguracja roku akademickiego nastąpiła w niecodziennych, nietradycyjnych warunkach, kiedy na Wydziałach Uniwersytetu studiowało już około 2 tys. studentów, a na Politechnice około 1 tys. Nie było sztandarów ani berła rektorskiego, tog zdobnych w gronostaje i łańcuchów dzikańskich. Był jednak nastrój, który nie powtórzy się nigdy: nastrój wielkiej skromności i wielkiej siły, którymi promieniowała sylwetka wielkiego uczonego — pierwszego rektora UL profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Była wielka wspólnota, więź serdeczna między profesorami i młodzieżą, między miastem i uczelniami, między robotnikami i studentami. Jakże piękne były wówczas wyrazy współpracy i troski, w dążeniu do jednego celu: wiedzy i kultury...

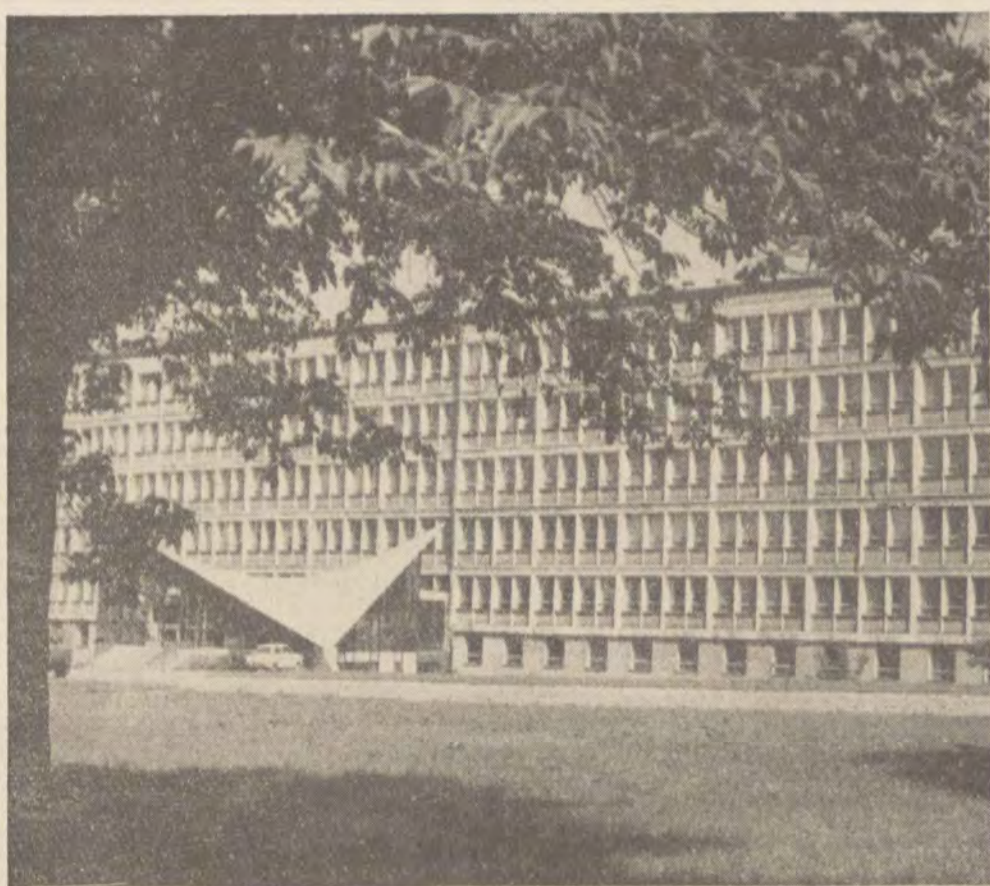
\*\*\*

Minęło ćwierć wieku, minęły jeszcze dwa lata.

„Jeśli mierzyć dorobek naukowy uczelni liczbą publikacji — to w ostatnim roku wzrosła ona o ponad 900 pozycji, w poprzednim o 1000, a od początku Uniwersytetu Łódzkiego opublikowaliśmy ponad 17 tysięcy pozycji” — powiedział rektor UL, składając sprawozdanie z działalności uczelni za rok akademicki 1970/71. Dorobek naukowy uczelni mierzy się jeszcze innymi efektami: opracowanymi i przygotowanymi dla gospodarki narodowej projektami i patentami (około 50 w ostatnim roku), udziałem niektórych Instytutów w rozwiązywaniu problemów planu centralnego i wynikami badań podstawowych prowadzonych we wszystkich jednostkach organizacyjnych uczelni.

Jakież to badania? Dla przykładu: jednostki Instytutu Chemii od wielu lat prowadzą ożywioną współpracę z przemysłem — instytutami branżowymi — szczególnie w zakresie opracowania syntez nowych leków psychotropowych oraz układu krążenia. Opracowują także metody wytwarzania nowych pigmentów (do włókien syntetycznych, lakierów) oraz barwników do wszelkiego typu włókien. Niektóre projekty wynalazcze już są przyjęte przez praktykę produkcyjną, inne mają służyć jako podstawy uruchomienia nowych produkcji.

Każdy wydział, każdy Instytut prezentuje pogłębiającą się wiedzę z praktyką, a tematyka badań nau-



Fot. W. Parys

ZOFIA TARNOWSKA

## WIZYTÓWKI NAUKOWEJ ŁÓDZI

kowych stanowi poważny wkład do nauki polskiej a często światowej. Już można mówić o stworzeniu na łódzkim gruncie szkół naukowych: geomorfologicznej, mikrobiologicznej, biochemicznej, teorii literatury, prawa pracy, socjologicznej („przeobrażenie rodziny na przykładzie rodzin łódzkich włóknarzy”, to jeden z tematów rozwiązywanych na wydziale „ekonomiczno-socjologicznym”).

Z 78 zagranicznymi ośrodkami uniwersyteckimi i placówkami naukowymi utrzymuje UL ścisłe kontakty. 82 podróże naukowe do wielu państw świata mają za sobą naukowcy UL m. in. w celu organizowania i prowadzenia studiów, wykładów, uczestniczenia w specjalnych imprezach naukowych. Miara znaczenia naszego Uniwersytetu i innych uczelni jest Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców — integralna część UL. Kształcą się w nim rocznie

ponad 300 osób przygotowujących się do studiów wyższych na łódzkich uczelniach...

**Politechnika Łódzka.** 15.500 dyplomów magisterskich i inżynierskich nosi jej godło. 102 przewody habilitacyjne, 575 osób ze stopniem naukowym doktorów nauk technicznych — to liczbowy miernik dydaktycznych efektów uczelni, która (aktualnie) kształci 10.500 studentów na siedmiu wydziałach. Dwa z nich — włókienniczy i chemii spożywczej są unikalnymi w skali krajowej. Politechnika specjalizuje studentów w 42 dziedzinach techniki, przy czym szereg z tych specjalności występuje na skalę krajową wyłącznie w Łodzi (np. konstrukcja maszyn papierniczych, włókienniczych, chłodnictwo, technologia celulozy i papieru, cukrownictwo). 2.500 osób pracuje na uczelni, w tym 1.120 pracowników naukowo-dydaktycznych, a wśród nich 201

profesorów i docentów. 320 podręczników akademickich, 520 skryptów, 6.300 prac i rozpraw naukowych w czasopiśmie polskich i zagranicznych, wiele tysięcy prac zleconych dla przemysłu, który ćwierć wieku temu dał ubogiej uczelni swe laboratorium i hale do dyspozycji — oto plan łódzkiego ośrodka naukowego technicznej myśli twórczej.

\*\*\*

80 proc. lekarzy zatrudnionych w Łodzi i województwie ukończyło **Akademię Medyczną** — uczelnię, której działalność dzieli się na dwa etapy: do 1950 r. jako Wydziału UL, a następnie jako odrębnej uczelni. Wśród ordynatorów, ich zastępców oraz kierowników pracowni na Ziemi Łódzkiej 320 jest wychowankami Łódzkiej Akademii Medycznej. Wielu lekarzy uzyskało stopień naukowy doktora nauk medycznych i doktora habilitowanego, kilkunastu jest kierownikami katedr w

innych akademiach medycznych i instytutach naukowych, 25 jest profesorami lub docentami Wydziału Lekarskiego. Część z nich, to ci, którzy 27 lat temu gromadzili się w auli Szkoły Włókienniczej przy ul. Zeromskiego — dzielącej się z bezdomnym Wydziałem Lekarskim swoją siedzibą, gdzie w maleńkim pokoiku dziekan Wincenty Tomaszewicz — niezłomny bojownik lat przedwojennych o utworzenie w Łodzi wyższej szkoły medycznej — kierował wydziałem i wyznaczał mu przyszłość.

\*\*\*

Szybko minęło ćwierć wieku i potem jeszcze dwa lata. Czyż można na kilku kartkach papieru ocenić dorobek łódzkich wyższych uczelni, dokonać przeglądu poszczególnych instytutów, opowiedzieć o losach ich trudnego rozwoju, wspomnieć ludzi, którzy w niepojęty sposób mnożyli siły, by sprostać zamiarom w realiach przeczących logice. Na wolowej skórze pisać by o tym, a setki tomów niepowtarzalnej kroniki zapełniłyby resztki miejsca w pierwszej inwestycji UL — Bibliotece Uniwersyteckiej na milion tomów budowanej — dziś już prawie wypełnionej.

Z chaosu lat minionych, z planów rysowanych marzeniem a potem ołówkiem architekta — wyłania się ze struktury przeobrażonego miasta jego akademicki, naukowy, twórczy charakter. Wyodrębniają się kompleksy nowych gmachów Politechniki, instytutów Uniwersytetu, olbrzymi kombinat Farmacji AM, dzielnice domów akademickich. Z desek projektantów schodzą kształty nowych inwestycji dydaktycznych i socjalnych. 345 milionów złotych wyniosą prace budowlano-montażowe do 1975 r. na rzecz rozbudowy Politechniki łącznie z obiektami socjalnymi dla studentów.

**„Pawilon” dla Instytutu Fizyki UL** (aktualnie najtrudniejsze warunki ze wszystkich uczelni w kraju) Chemii, Geografii, Wydziału Prawa, dwa domy dla studentów — 920 miejsc, rektora z aulą, stołówki studenckiej, Stacji Hydrobiologicznej nad sulejowskim zalewem — oto przykładowe inwestycje bliższej i dalszej perspektywy rozbudowy UL. Rysują się kształty miasteczka akademickiego, a w nim szpitala klinicznego Akademii Medycznej i biblioteki.

To wszystko mało. Życie popędza. Trwa międzynarodowy wyścig techniki. Elek-

tronika, cybernetyka, promieniowate, stają się warunkiem postępu naukowego i dydaktycznego. Kto nie nadaża — zostaje. Rosną więc potrzeby i koszty rozwoju, rosą wymagania życia, które bierze pod rękę wszystkie dziedziny nauki i poddaje im coraz nowe problemy do rozwiązania. Nauka oddaje coraz większe usługi gospodarce narodowej, gospodarce łódzkiego regionu, młodzi studenci wcześniej konfrontują swą przyszość magistrów, inżynierów, lekarzy z praktyką życiową. Jest ich dwadzieścia kilka tysięcy — łódzkich akademików. Nie wiem czy źle to czy dobrze, że nie manifestują swej przynależności do studenckiego stanu tradycyjnymi nakryciami głów. Widać byłoby wówczas nie tylko w meldunku złotowym lecz na placu budowy krzątającej się studentów UL przy budowie (1000 godzin) łódzkiej fabryki domów.

Może czapki wróć do łask i — jak mówi Elżbieta Gierłowska — delegatka Zrzeszenia Studentów Polskich na Zlot Młodych Przedowników nauki i pracy — będzie nas widać w mieście. Rada Uczelniana ZMS podejmuje starania o przekazanie młodzieży tradycji uniwersyteckiej w Polsce i na jej tle tworzenie tradycji łódzkiej.

Wydaje się, że łódzka młodzież akademicka ma już podstawy tej tradycji i jej odrębności. Jest to współudział w tworzeniu, uczelni, odpowiedzialność za ich losy i rangę nauki w Łodzi. Przejawiało się to m. in. w uprzątaniu gruzów, zdobywaniu pomocy naukowych, a nawet... mieszkań dla profesorów. Dziś do tradycji należy zaliczyć m. in. ruch kulturalny i obozy społeczno-naukowe. Już 20 lat temu zainicjowała je Akademia Medyczna. Dziś można mówić o poważnym dorobku obozów organizowanych przez młodzież ze wszystkich uczelni, a obejmujących problematykę coraz obszerniejszą i bardziej złożoną. Szlakiem spacerów wsi Kielecczyzny idą obozy studentów AM by badać dzisiejsze skutki biologiczne hitlerowskiej zagłady i nieść specjalistyczną pomoc mieszkającym wsi. Trzeci rok badają studenci UL wodę zalewu sulejowskiego pod kątem jej wartości przemysłowej i spożywczej.

Można wyliczać i wyliczać w nieskończoność. Szczuple ramy artykułu nie pozwalają na to. Dlatego wiele zasygnalizowanych tu zaledwie spraw omówimy szerzej w dalszych publikacjach.

fotografii. Nazwisko już znalazłem, twarzy nie widziałem jeszcze.

(JERZY PUTRAMENT — „Pół wieku”)

\*\*\*

(...) Niekiedy sytuacje były rzeczywście bardzo zabawne. Na stanowisko prokuratora Sądu Apelacyjnego w Lublinie został powołany przedwojenny lubelski prokurator Antoni Balcerzyk. W toku wielu rozmów, jakie z nim odbyłem, zachęcałem go do nawiązania ścisłego kontaktu i współpracy z Komendą Główną Milicji Obywatelskiej, do przeprowadzenia rozmowy z jej komendantem Franciszkiem Józwiakiem-Witoldem. Wciąż jednak do tej rozmowy nie dochodziło, a Balcerzyk zastanawiał się tym, że w ścisłym kontakcie z KG MO jest prokurator okręgowy. Kiedy jednak zadrażnienia i konflikty między prokuraturą a milicją narastały, zażądałem kategorycznie od Balcerzyka, żeby porzucił postawę przedwojennego dygnitarza prokuratorów i w ciągu 24 godzin nawiązał bezpośredni kontakt z Józwiakiem, a później zreferował mi wyniki pierwszego spotkania. Długo tłumaczyłem Balcerzykowi ustrojowe różnice między milicją a dawną policją, mówiłem o roli prokuratora w państwie ludowym. Wiedziałem przecie, że nie naklonię „Witolda”,

aby pierwszy złożył wizytę prokuratorowi apelacyjnemu. Następnego dnia przybiegł do mnie uradowany Balcerzyk i w dużym podnieceniu opowiedział o swojej rozmowie z Józwiakiem. „On mnie od razu poznał. Bo, panie ministrze, my się dobrze znamy. Ja pana Józwiaka oskarżałem w procesie komunistycznym. Mimo to był dla mnie niestychanie uprzejmy i nawet odwiózł mnie swoim samochodem do domu. Dziwna ta waza władza, jak to się teraz nazywa — ludowa”. Kiedy w kilka dni potem spotkałem Józwiaka, wszystko się potwierdziło. „To był przyzwyczajony prokurator — mówił Józwiak — oskarżał na tyle, na ile musiał. Przemawiał bez temperamentu. Odwalał robotę”. Współpraca między milicją a prokuraturą składającą się z przedwojennych prokuratorów — zaczęła się jako układ.

(LEON CHAJN — „Kiedy Lublin był Warszawą”)

\*\*\*

(...) Wśród wciąż napływających do Lublina postaci ze świata artystycznego był również poeta i popularny dziś fraszkopisarz, świetny znawca teatrów kukielkowych Jan Sztudynger.

Udało mu się wówczas przekonać ówczesnego kierownika resortu sztuki PKWN-u, Rzymowskie-

go, że w organizującym się życiu teatralnym państwa socjalistycznego powinny się znaleźć teatry marionetek. Powołał się przy tym na przykład teatrów radzieckich ze słynnym Obrzeczowem na czele. Rzymowski uznał postulaty te za słuszne i mianował Sztudyngera kierownikiem sekcji „marionetkowej” przy Resorcie Sztuki. Związane to było z posiadaniem w gmachu PKWN-u własnego pokoju, paru urzędników i oczywiście maszynistki. Niefortunnie zredagowane ogłoszenie w wychodzącej wówczas w Lublinie „Rzeczypospolitej” było powodem pewnego nieporozumienia z cenzurą. Ogłoszenie brzmiało dość jednak niezręcznie: „Potrzebna wykwalifikowana maszynistka do Sekcji Marionetkowej PKWN-u”. Dzięki jednak interwencji wszechpotężnego wówczas Borejszy sprawa została wyjaśniona i Sztudyngera zostawiono w spokoju.

(JERZY ZARUBA — „Z pamiętnika bywalca”)

\*\*\*

(...) Jeszcze w poniedziałek byłem stróżem. W pewnym nafaszerowanym nielegalnością przez wszystkie lata wojny mająteczku pod Warszawą. Trzech nas było stróżów u nieocenionej pani Cholewińskiej: jeden hrabia — były oficer sztabowy, jeden były staro-

sta i ja trzeci. Otóż jeszcze w poniedziałek byłem stróżem w Morach, a już w środę zostałem przedstawiony w Lublinie ministrowi Wincentemu Rzymowskiemu i mianowany naczelnikiem Wydziału Estrady.

W korytarzu obok nas i na innych piętrach gnieździły się pozostałe ministerstwa (czy też „resorty”, jak się wówczas mówiło). Cała władza przyszłej Ludowej skupiała się w jednym jedynym szarym gmachu przy ulicy Spokojnej.

Taki prymityw miał swoją dobrą stronę: eliminował wszelką biurokrację, która nie tylko byłaby nie w stylu, ale w ogóle nie miała technicznych warunków do rozwoju. Stosunki między dygnitarzami i ich podwładnymi, układały się niestychanie prosto. Jeżeli na przykład potrzebowałem pieniędzy na wyjazd służbowy, albo po prostu zaliczki na pensję, udawałem się do ministra kultury, który mi wystawiał odpowiedni karteluszek, a potem do ministra finansów, który na podstawie karteluszek wypłacał gotówkę.

Oczywiście, jeżeli akurat miał. Zdarzało się bowiem, że pomrukując niechętnie — każdy minister finansów, kiedy ma wyasygnować pieniądze dla kultury, pomrukuje niechętnie — podchodził do ogromnej pancernernej szafy w kącie pokoju, długo borykał się z jej skomplikowanym zamkiem, a potem

rzucił na stół małą paczuszkę owiniętą w gazetowy papier.

— To są drożdże, akurat dostaliśmy transport. Sprzedajcie to sobie na rynku, można wytargować nawet więcej niż się wam należy. (JERZY JURANDOT — „Dzieje śmiechu”)

\*\*\*

Takie były „pierwsze dni wolności” zanotowane przez pamiętnikarza. Czy jest to zapis pełny? Na pewno nie. W tamtych pierwszych latach anegdota mieszała się z tragizmem, pierwsze uniesienie wolnością z pierwszymi kłopotami. To przecież tamtego roku 1944 ukazywały się pierwsze tomiki poezji i tamtego roku zginął niepotrzebna śmiercią w katastrofie — poeta-żołnierz Lucjan Szeffal, a inny poeta Teodor Bujnicki zamordowany został przez reakcyjne podziemie. Po przecież tego lata w Lublinie przy ul. Spokojnej rozbił się polski rząd, a tu 30 lipca odbywało się pierwsze konspiracyjne posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej w gajówce Ojrzeń pod Radomskiem! Ten lipiec dla jednego był początkiem pokojowej pracy dla Polski, dla innych oczekiwaniami na zrzut amunicji. Skomplikowany i różny był polski lipiec 1944. Częstokroć tej złożoności chcieliśmy przekazać szperając w tomach wspomnień.

Wybrał: J. WILMAŃSKI



# MŁODOŚĆ, ZAPAŁ, CZYNY

Od wczoraj Łódź stała się miastem młodych. Przyjechali do nas ci najlepsi — przodujący robotnicy, rolnicy, przedstawiciele młodej inteligencji, studenci, wśród których są członkowie ZMS, ZMW, ZHP, ZSP i KMW. Przez 5 dni ZLOTU MŁODYCH PRZODOWNIKÓW PRACY I NAUKI jego uczestnicy spotkają się z załogami fabryk Łodzi i województwa, zapoznają się z proletariackimi tradycjami miasta i regionu, spotkają się z najwyższymi przedstawicielami kierownictwa partii i rządu, aby poważnie porozmawiać o przodowaniu w pracy dla Polski Ludowej.

Na poprzednim, katowickim Zlocie Młodych I sekretarz KC PZPR — EDWARD GIEREK zapytał:

— Z czym przyjdziecie na VI Zjazd partii i swój następny Zlot?

Na to pytanie młodzież całego kraju odpowiedziała pracą, biorąc udział w realizacji przedjazdowych zobowiązań, czynów społecznych na rzecz swoich środowisk, a także występując z licznymi i pożytecznymi inicjatywami w akcji „20 miliardów”. W tym okazałym dorobku młodego pokolenia ma też swój udział młodzież Łodzi i województwa łódzkiego. Tylko łódzcy zetemesowcy podjęli zobowiązania, których wartość produkcyjną wyniosła przeszło 35 milionów zł.

Akcje organizowane przez ZMS: „Turniej młodych mistrzów techniki”, „Bank materiałów” czy akcja łódzkiej organizacji ZMS — „Sygnał”, socjalistyczne współzawodnictwo pracy, akcje ZMW — opieka nad dziećmi wiejskimi w czasie żniw i „Każdy kłós na wagę złota”, to nie tylko cenne inicjatywy, utrwalające wychowawczą umiejętność intensywniej pracy na co dzień, ale to również realny wkład młodego pokolenia w rozwój naszej Ojczyzny. Organizacje młodzieżowe w swojej pracy wychowawczej bardzo mocno akcentują obywatelskie obowiązki młodzieży. W oparciu o sprawdzone wzory ideowe, polityczne i moralne starszego pokolenia, w oparciu o program partii, organizacje młodzieżowe starają się kształtować wzorce osobowy młodego Polaka lat osiemdziesiątych.

O przyszłości Polski i miejscu młodych w jej rozbudowie dyskutuje się nie tylko na ZLOCIE MŁODYCH PRZODOWNIKÓW PRACY I NAUKI. Są to tematy codziennych rozważań, w których szuka się najlepszych sposobów rozwiązania spraw, jakie nurtują wszystkich Polaków. Niezależnie od wieku. Z tych dy-

skusji wybraliśmy problemy, które najbardziej nurtują środowisko łódzkiej młodzieży robotniczej.

## MŁODOŚĆ

### — ZAŁĘTA CZY WADA?

Aniśmy się spostrzegli, jak odmładniały nam załogi wielu fabryk i przedsiębiorstw. Czy jednak zawsze umiemy do-

cewać swoje obowiązki, właściwie same nie wiemy czego chcemy. Starsi pracownicy mówią: — Wiadomo, czego można spodziewać się po młodzieży. No a przecież mamy w „Iwonie” i tę dobrą młodzież. Czy wobec tego można uogólniać negatywne przykłady?

— Trzeba być przygotowanym na to — stwierdził STANISŁAW PIECH z Biura Studiów i Projektów Przemysłu Włókienniczego w Łodzi — że każdemu młodemu, który przychodzi do pracy starsi przyglądają się krytycznie przynajmniej przez pół roku. A już niemal podejrzliwie pa-

maszynach, to niedługo ich już nie będzie i trzeba szybko nauczyć się pracy na nowocześniejszych. Z tym nie można będzie czekać 20 lat.

Nie wszędzie jednak starsi patrzą z niechęcią na młodych. Na przykład w „Elcie”, gdzie organizacja ZMS zdobyła swoją pracą znaczny autorytet, starsi odnoszą się do zetemesowców z zaufaniem i traktują młodych jak równoprawnych partnerów. Organizacja ZMS tam osiąga autorytet, gdzie nie tylko reprezentuje interesy młodzieży, ale potrafi podejmować problemy istotne dla całej załogi. Tam, gdzie ZMS nie zapomina o tym, że realizując swoje zadania wychowawcze przygotowuje przyszłych przewodniczących rad zakładowych, samorządów robotniczych, działaczy partyjnych i gospodarczych, tam jest nie tylko formalnie pełnoprawnym współgospodarzem. I tam nikt nie dzieli załogi na starych i młodych w tym negatywnym sensie, tam są po prostu pracownicy, których jedynie różni wiek.

BOGDA MADEJ

# PO PROSTU POLACY

## NIE TYLKO KRYTYCZNI

Młodzi są niecierpliwi. I krytyczni. Uważnie obserwują wszystko, co się wokół nich dzieje i nie ze wszystkiego są zadowoleni.

— Rozumiemy potrzebę prac społecznych i chętnie bierzemy w nich udział — powiedział EUGENIUSZ KOT, zetemesowiec z ZPB im. Sz. Harnama — ale mówiąc szczerze wolimy dodatkowo pracować przy maszynach. Wiadomo wtedy, że to, co wyprodukujemy znajdzie się na rynku. Inaczej bywa czasem przy pracach społecznych na rzecz miasta. Jednego dnia zakładamy na przykład chodnik, a za kilka dni komuś tam przypomina się, że zapomniano o wymianie kabli, więc przychodzi ekipa robotników i niszczy naszą robotę. Za tydzień proponuje się nam ponownie ukladanie tego samego chodnika. Czy to ma sens?

— Ale i to, co czasem dzieje się w samej fabryce — powiedział JERZY JURGA, kierownik magazynu wyrobów gotowych w ZPW im. A. Struga — nie może nas zadowalać. U siebie w zakładzie obserwuję na przykład zakłócenia na produkcji. Poszczególne oddziały robią akurat to, co jest doraźnie potrzebne odbiorcom, nie uwzględniając ciągłości procesu produkcyjnego. I bywa tak, że niektóre oddziały stoją beczynnie, bo ich poprzednicy w procesie produkcyjnym pracują

cenie walory, jakie wnoszą ze sobą młodzi do życia politycznego, społecznego i gospodarczego? Panuje jeszcze często niedobry stereotyp myślowy, który każe pobłażliwie traktować młodszą część załogi. To prawda, że nie mają takiego doświadczenia jak wielu starszych, zasłużonych robotników. Ale młodzi przychodzą do pracy często już po szkole średniej lub wyższej i trzeba pamiętać, że ich wiedza teoretyczna stanowi kapitał, który odpowiednio wykorzystany i pokierowany może okazać się niezwykle pożyteczny. Czasem jednak zwraca się uwagę przede wszystkim na przypadki nie zawsze najlepszej pracy młodych.

— U nas pracują dziewczęta z OHP — mówiła KRYSZYNA RUTKOWSKA, ekonomistka z ZPDz. „Iwona”, wiceprzewodnicząca ZZ ZMS. — Niektóre z nich nie przykładają się należycie do pracy, lek-

trzą na młodego społecznika, zastanawiając się pewnie, co on chce zyskać poprzez swoją aktywność. To chyba naturalne, że chcemy uczyć się pracy społecznej. Jeśli chcemy jednak zdobyć uznanie i autorytet u starszych, to możemy to osiągnąć tylko przez rzetelną pracę i konsekwentne realizowanie naszych zamierzeń.

Krytyczny stosunek starszych robotników do młodzieży bierze się niejednokrotnie stąd, że porównują oni własny start życiowy i warunki, jakie młodym stworzyła Polska Ludowa.

— Stara gwardia sądzi — zauważył RYSZARD KOWALEWSKI, pracownik „Elesteru” — że młody musi pracować przynajmniej 20 lat, żeby się czegoś nauczył i osiągnął to, co starsi zyskiwali przez tyle lat. Ale czasy się zmieniły i jeśli dziś pracujemy jeszcze na starych





# TOBIE LUDOWA OJCZYZNO!

akurat dla zewnętrznego odbiorcy, a nie dla potrzeb zakładu. Nie jest to chyba najlepsze dla rytmicznej pracy całej fabryki.

— To nie może być tylko niezadowolenie z tego, co się dzieje w fabryce — stwierdził RYSZARD KOWALEWSKI z „Elesteru”. — Trzeba szukać sposobów rozwiązywania różnych trudności. U nas przez pewien czas dziewczęta obsługujące jedną z taśm produkcyjnych osiągały bardzo niską wydajność pracy. Zbadaliśmy sprawę i okazało się, że otrzymywały one detale do montażu później niż inni. Po prostu starsze pracownice potrafiły to sobie lepiej zatatuwić. Od czasu, kiedy taśmą tą zaopiekowali się zetemesowcy, dostawy detali przychodzą na czas, a dziewczęta osiągają wydajność przekraczającą 100 proc. Nie ograniczyliśmy się tylko do tej jednej taśmy. Zatrzaszczyliśmy się o rytmiczne dostawy detali w całym zakładzie.

Przytoczone przykłady pokazują, że nie jest to już tylko krytyczne spojrzenie na otaczającą młodych rzeczywistość, ale — co ważniejsze — szukanie sposobów jej doskonalenia. Pokazują one również, że dziś zmienił się znacznie nawet ton wypowiedzi. Pamiętam jedną z młodzieżowych narad sprzed paru lat, kiedy to dominiowały pretensje, żal i nieporadność. Mówiono wtedy przede wszystkim o tym, co młodzieży trzeba dać. Obecnie młodzież coraz częściej mówi o sprawach ogółu i szuka nowych sposobów postępowania.

## JĘŚLI SIĘ TYLKO POMYŚLI

— W naszym biurze — mówił STANISŁAW PIECH — mamy około 80 proc. młodzieży dokształcającej się na studiach wieczorowych. Po ukończeniu nauki pracownik powinien być przeszerogowany. Ale o tym nie zawsze pamiętano. Wobec tego wybraliśmy do Zarządu Kola ZMS pracownicę kadr, którą zobowiązaliśmy do pilnowania tych spraw. I teraz nie mamy z tym żadnych kłopotów.

— W „Elcie” organizacja ZMS jest liczna. Zetemesowcy mieli kłopoty w kontaktowaniu się z Zarządem Zakładowym. Postanowiliśmy przed rokiem odwrócić dotychczasowy porządek i każde kolo ZMS otrzymało swego opiekuna z Zarządu Zakładowego ZMS. W ten sposób wiemy nie tylko o tym, czego potrzeba poszczególnym koleom, ale mamy pełny obraz tego, co dzieje się w całej fa-

bryce — podzielił się doświadczeniami swojej organizacji STANISŁAW ERTMAN, monter aparatów trakcyjnych w „Elcie”.

Okazuje się, że młodzi w swoich poszukiwaniach nie tylko ograniczają się do spraw swojej organizacji czy zakładu, ale w dobrze pojętym interesie doskonalenia własnego zawodu sięgają do rozwiązań wykraczających poza własne przedsiębiorstwo. Postąpili tak młodzi pracownicy z Biura Studiów i Projektów Przemysłu Włókienniczego, a pomysł ten przedstawił STANISŁAW PIECH.

— Nie wystarczy nam już dzisiaj pisana informacja techniczna o tym, co dzieje się w technice innych krajów. Potrzeba niektóre sprawy poznać samemu, ale nie wszyscy mogą jeździć za granicę. Postanowiliśmy wobec tego nawiązać współpracę z młodzieżą z podobnych biur i zakładów przemysłowych w krajach RWPG, organizując bezdewizową wymianę specjalistów. Ale przy okazji zadaliśmy sobie pytanie: dlaczego „Juventur” — biuro podróży zagranicznych powołane dla potrzeb młodzieży — nie organizuje wycieczek specjalistycznych?

## PATRONATY MŁODYCH

Patronat jest to metoda, która pozwala wyzwalać inicjatywę i pomysłowość młodych, a także uczyć ich samodzielności. Młodzi z „Elty” patronują budowie domków jednorodzinnych, w „Elesterze” i Łódzkiej Fabryce Zegarów „Pollik” — produkcji niektórych wyrobów i dodatkowej produkcji, a w wielu innych przedsiębiorstwach, tak jak w Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Włókienniczego młodzież przyjęła na siebie troskę o organizację życia kulturalnego i wypoczynku. Warto przy tym zastanowić się, czy każde rozwiązanie, każdy projekt, z jakim wychodzą młodzi, powinien zaraz otrzymywać miano patronatu? Czy nie należałoby zarezerwować tego terminu tylko dla spraw najważniejszych, tak, aby nie zdewaluowało się nam jeszcze jedno pojęcie?

Partia rzuciła hasło: „ZBUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ”. Założono, że już w niedalekiej przyszłości na jednego statystycznego Polaka przypadać będzie jedna izba. Jest to cel, przy realizacji którego trzeba w najwyższym stopniu wykorzystać zapał, pomysłowość i wiedzę młodych. I młodzi objęli patronatem bu-

downictwo mieszkaniowe. Ale czy zrobili już wszystko, na co ich stać w obecnych warunkach? W Łodzi, w wyniku patronatu wybudowano 60 mieszkań, a około 3.200 osób pomagało w budowie Łódzkiej Fabryki Domów. Przystąpił się do budowy następnych trzech patronackich bloków. Członkowie ZMS z „Miastoprojektu” powołali specjalny zespół, który po godzinach pracy przygotowuje projekty dla budynków, realizowanych systemem gospodarczym.

— Bardzo dużo młodych ludzi chce swój wkład do spółdzielni mieszkaniowej odpracować na budowie — mówił JERZY JURGA, uczestnik 47-osobowej grupy, kończącej pracę przy budowie domu w spółdzielni „Osiedle Młodych”. — Są wśród nich też moi koledzy, którzy w ten sposób chcieliby przyspieszyć otrzymanie własnego mieszkania. Słyszałem jednak, że ta inicjatywa napotyka na różne trudności. Niektóre przedsiębiorstwa budowlane niechętnie widzą pomoc młodych. Czy wobec tego nie można byłoby powołać w Łodzi spółdzielnię, której członkami byłiby młodzi ludzie, pragnący odpracować na budowie swój wkład mieszkaniowy? Są przecież wśród chętnych młodzi projektanci i specjaliści innych zawodów, których praca i wiedza są niezbędne na budowie.

## „BANK TALENTÓW”

Hasło: „ZBUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ” zobowiązuje do stosowania coraz szerszej nowoczesnych metod pracy i techniki. Nowoczesność mogą jednak wprowadzać przede wszystkim ludzie odważni, wykształceni, dobrzy organizatorzy. Stwarza to szansę dla młodych. I z tej szansy trzeba skorzystać. Trzeba więc umieć ocenić siebie dzisiaj i zastanowić się nad swoim miejscem w przyszłości. Rozważyć, czy posiadane już kwalifikacje pozwolą spełnić ambitne — bo inne być nie powinny — plany i zamierzenia. Brak takich ambicji kryje bowiem w sobie poważne, społeczne niebezpieczeństwo. Powoduje, że człowiek pracuje, aby tylko wywiązać się z bieżących obowiązków i nikomu nie narazić się. Nie widzi też potrzeby stałego dokształcania.

Wielu młodych utożsamia pojęcie awansu z przeniesieniem ich do wyższej grupy zarobkowej. A przecież nie o taki awans chodzi. Powinien on być rozumiany jako możliwość wykazania swoich umiejętności, samodzielności i inicjatywy.

Jeżeli kto, to właśnie młodzi powinni zrywać z formalnym pojęciem awansu, starając się o rozszerzenie zasięgu swego działania, wzrostu odpowiedzialności. I nie bojąc się ani jednego, ani drugiego. To prawda, że nie zawsze w fabryce istnieje już możliwość takiego awansu, ale trzeba się do tego przygotować.

W „Elcie” Zarząd Zakładowy ZMS zainteresował się wszystkimi młodymi z wyższymi kwalifikacjami, kierując ich na właściwe stanowiska. W LZPB im. Odrobiciów Pokoju — jak to relacjonował członek Zarządu Oddziałowego ZMS, JERZY LEBIODA — organizacja młodzieżowa prowadzi różnego rodzaju pomocnicze kursy dla uczącej się młodzieży. Są to sposoby rozbudzania ambicji młodych i zachęcania ich do nauki. Na pewno nie jedyne.

W wielu zakładach tworzy się rezerwową kadrę specjalistów. Współuczestniczyć w tym powinna również organizacja młodzieżowa, występując z inicjatywą powołania swego „BANKU TALENTÓW”. Wchodziłoby do niego wszyscy wybijający się pracownicy. Ludzie z inicjatywą, pomysłami, dobrzy organizatorzy, których można byłoby wykorzystywać przy obsadzeniu różnych stanowisk. Członkowie „BANKU TALENTÓW” poddawani byłiby co jakiś czas weryfikacji, bowiem podstawowym warunkiem przynależności do takiego banku powinno być stałe doskonalenie swoich kwalifikacji zawodowych. Taki „BANK TALENTÓW” nie raz przydałby się w trakcie BUDOWANIA DRUGIEJ POLSKI.

★

Skończy się ZLOT MŁODYCH PRZODOWNIKÓW PRACY I NAUKI, jego uczestnicy powrócą do swoich miast i miasteczek, na wieś, do fabryk i instytucji, aby przez cały rok realizować przyjęty w Łodzi program. Zakończenie Zlotu nie oznacza jednak zakończenia dyskusji nad powszednimi sprawami naszego kraju. Będą o nich dyskutować również delegaci łódzkiej młodzieży, a wśród nich i ci, których wypowiedzi cytowaliśmy na łamach pisma. Będą nie tylko dyskutować, będą w praktyce szukać coraz lepszych i skuteczniejszych form pracy dla przyszłości Polski.

Przedstawiliśmy tylko niektóre problemy, jakie interesują młodych, którzy są przecież uważnymi obserwatorami tego wszystkiego, co wokół nich się dzieje. PO PROSTU JAK TO MŁODZI, PO PROSTU — JAK POLACY.

Fot. E. Kudaj





## GRAZYNE

Ja Cię jak winogron  
jak bzu ciepłą okiść  
Ja Cię samą miękkością wiatrem przyniesioną  
wpisałem w źródło w nim tętno rozpalie —

Ty mi wyroślasz brzegiem nierównej wilgoci  
włosem jak cień na płocie  
skrzywiasz twarz —  
ukrywasz w czółna odległej zatoce

Ty słowo wyciszasz krzyżem —

a ja Cię chciałem zabrać w niepokoje  
pełne szmerów i mchów po łagodne zbocza  
chciałem drogi prostej jednak strojonej

Ty wieżę lyskającą  
co przechodzi ślepo łukiem horyzontu  
tylko zrywem wiatru grzechotaniem fall —

nim okręt zatonię  
lub w mgłę utknę martwo  
morze klamrą scalić

czy gałązką srebrną kropkę Twojej dali  
harfą snu wyżalić —

marzec 1972 r.

Jestem kamieniem leżącym na drodze.

Przechodzą ludzie obojętni.  
Potrąca czasem, lub ominą  
nie zwracając uwagi.

Przechodzą ludzie zaciekawieni.  
Przystaną czasem, obejrzą,  
pokiwiają głowami:  
„Kamień jak inne — nie ciekawego”... Odejdą.

Kiedyś ktoś się potknie.  
Wtedy dopiero  
stanę się obiektem zainteresowania.



OJCU W CHOROBIĘ

Jeszcze mi jesteś, niepodległy jak promień,  
w kręgu lampy, łatwy do przepisania  
z życia na śmierć.

Jeszcze mi jesteś, niezawisły jak krew,  
pochylony w sobie, przekraczający siebie  
o nadchodzący dzień,

zapisany gorączkową ręką niepokoju,  
teraz, w kręgu lampy, na szarym papierze  
moich rąk.

Jeszcze mi jesteś, w krwioobiegu słowa,  
które zamawiam na jutrzejszy ranek,  
Wysoka Rekonwalescencjo.

Jeszcze mi jesteś, zapewniony jak luminal,  
przed moim snem, przed twoim snem, przed  
bezradnością wiersza.

O jakże łatwy jesteś do przepisania.

## ANDRZEJ STANISŁAW LIPIŃSKI

## Fobia

W medycynie nazywa się to przypadek. Ciekawy. Nietypowy. Banalny. Poważny. Ten był nietypowy. Od samego początku. Fobia jest chorobą naszego wieku, boimy się bowiem dość powszechnie zawału, raka, a nawet grypy, lękając w okresie epidemii witaminy... nie boimy się wszakże pić. Nie boimy się również palić. Kochamy się. Zdradzamy. Dążymy do celu. Nic co ludzkie nie może pozostać nam obce.

Fobie mojego pacjenta były jednak zupełnie innego rodzaju. On chciał żyć! On chciał żyć na miarę swoich marzeń. Jak w bajce o dobrym królewiczu i pięknej królewnie. I cóż z tego, że nikt nie napisał jeszcze takiej bajki. Każdy z nas ma swoje wyobrażenia o życiu. Jednemu do pełni szczęścia potrzebne są tylko ciepłe bambosze i nocnik pod łóżkiem. Innemu nie wystarczy Mamaia. Och, Calcutta!

Choroba mojego pacjenta rozpoczęła się mniej więcej w miesiąc po ślubie, objawami napadowego rozdrażnienia. A to guzik od koszuli nie był przyszyty, zupa nie taka jak u mamusi, krawat nie na tej półce. Później rozdrażnienie przerodziło się w niepokój, że tak już pozostanie na zawsze. Na koniec wreszcie opanowało mojego pacjenta uczucie pogłębiającego się niedosytu. Uśmiech był nie dość szczery a pieśczęty zdawkowe. Doszło wówczas do zasadniczej rozmowy. Minuta szczerości. Do piątej nad ranem. Wydawało się, że teraz będzie już wszystko w porządku. Przesilenie choroby nie przyniosło jednak spodziewanego wyzdrowienia, aczkolwiek piękna królewna dbała tymczasem o swego królewicza z bajki jak gdyby poza nim nie było innego mężczyzny na całym świecie. Guziki od koszuli były wszystkie przyszyte, zupy jak u Rytza, krawat zawsze pod ręką, uśmiechy pełne uwielbienia i miłości a pieśczęty wulkanem namiętności.

Napadowe rozdrażnienia przeszły w stan chroniczny. Niedosyt pogłębiał stan niepokoju, a niepokój wywoływał lęk. Mój pacjent bał się po prostu, że żona dotrzyma obietnicy i spełni wszystkie jego marzenia o sobie. Jak go wyleczyć, kiedy jego wyobrażenia o pięknej królewnie przerodziły się w międzyczasie w fobię, że bajka może stać się rzeczywistością.

On miał dopiero trzydzieści lat. Przed nim było jeszcze tyle lat życia. Do czego miał dążyć? Czego oczekiwać? O czym marzyć?

Poradziłem aby zaczął palić papierosy. Będzie mógł wtedy zacząć lękać się raka, a potem starać się zerwać z nalogiem, co jak wiadomo nie jest wcale takie łatwe. Nie wiem co zrobił? Może zmienił lekarza, straciłem go w każdym bądź razie z oczu, na dłuższy okres czasu.

Wreszcie wczoraj, wpadł do mnie zdyszany, i od drzwi wykrzyknął:

— A nie mówiłem! Wczoraj znów krawat leżał nie na swoim miejscu. Zupa była przypalona, a... lepiej nie wspominać tej nocy. Zaraz po powrocie do domu przeprowadzę z żoną ostateczną rozmowę. Ostatnią. Nie ma na świecie idealnych kobiet. Bajeczki o pięknych królewiczach są dobre tylko dla dzieci. Prawdziwy mężczyzna musi walczyć o swoje szczęście przez całe życie... Jednej rzeczy tylko się boję, czy nie mam raka płuc. Od pewnego czasu coś mnie bez przerwy kłuje o tu, pod łopatką. Muszę koniecznie rzucić palenie. Ze też nawet lekarzowi nie można zaufać.

## Zdjęcie

Maciej siedział na plaży obserwując przez teleobiektyw przeciwny brzeg jeziora. Polował na dzikie kaczkę, startując jak odrzutowiec z powierzchni wody. Mariola leżała nie opodal na kocu. Skierował aparat w jej stronę. Poprawił ostrość obrazu. Białe posładki odcinały się wyraźnie od reszty opalonej skóry. Wystarczyło nacisnąć spust... Kilka lat temu zaproponował, że zrobi jej kilka zdjęć nago. Nie pozwoliła. Doszło nawet do krótkiej utarczki słownej, w której dominowało stanowcze — nie! Do sprawy zdjęć nie wrócili już nigdy w żadnej rozmowie. Przekreślił pierścień odległości. Obraz Marioli rozmazał się. Odwrócił głowę. Przykrył powieką.

— Ciekawe co też powiedziała teraz, słysząc trzask otwierającej i zamykającej się przesłony. Prawdopodobnie podniosła głowę i poprawiła włosy — pomyślał i powiedział głośno:

— Dwoje ludzi stara się zbliżyć do siebie coraz bardziej aby w pewnym momencie stwierdzić, że niczego już więcej nie pragną.

— Coś równie bezsensownego można wymyślić tylko w czasie upałów — Mariola podniosła się trochę i oparła głowę na dloniach.

— Kiedy człowiek osiągnie już wszystko co jest możliwe do zdobycia, powinien umrzeć. W małżeństwie dochodzi w takich wypadkach do rozwodu.

— Do czego zmierzasz?

— Jeszcze nie wiem. Prawdopodobnie jednak do naszej wczorajszej rozmowy. Nie rozumiem chwilami psychiki kobiet.

Wiem natomiast z całą pewnością, że mężczyzna musi się od czasu do czasu sprawdzić.

— Taka filozofia prowadzi wprost do zdrady w małżeństwie.

Maciej wziął z powrotem do ręki, odłożony przed chwilą aparat. Patrząc na świat przez obiektyw aparatu fotograficznego, można dostrzec wiele szczegółów, na które normalnie nie zwraca się żadnej uwagi... rysująca się ostro pod światło linia bioder Marioli, na tle nieruchomych, wysmukłych trzciny, jeszcze bardziej podkreślała ich łagodny zarys i zwiewny charakter. Tego nie można dostrzec gołym okiem. Normalnie nikt nie zwraca uwagi na trzciny.

Słońce dopiekało coraz bardziej. Mariola wstała i nie zakładając kostiumu weszła do wody.

— Chodź się kąpać — powiedziała — a potem mógłbyś sprowadzić kakaj.

— Nie mam ochoty ani na kąpiel, ani na kakaj. Dziś interesują mnie tylko kaczkę.

— Wczoraj miałeś zupełnie inne zainteresowania.

— Powiedz raczej, że nie miałem żadnych zainteresowań.

— Naturalnie. Prośba żony może pozostać nie uwzględniona, podczas gdy dla innych kobiet pozostaniesz aż do śmierci szarmancki.

— Przesadzasz kochanie jak zwykle. Najwyżej do emerytury. Potem pozostaną mi już tylko wspomnienia i te zdjęcia. Ślicznie wyglądasz w tym kadrze aparatu.

— Nie jestem kaczką.

— W odległych, nieruchomych dotychczas szuwarach poruszyło się coś nagle. Maciej odruchowo nacisnął spust aparatu. Mariola kopnęła wodę w jego kierunku.

— Nie jestem kaczką — powtórzyła ze złością.

— Wiem. Dlatego też nie tobie zrobiłem zdjęcie. Tam coś się dzieje, a tymczasem cały aparat jest mokry — powiedział, wycierając soczewkę teleobiektywu, po czym skierował go jeszcze raz w kierunku poruszających się trzciny. W szuwarach siedziały dwie kobiety na wodnym rowerze. Kiedy się tam znalazły trudno było określić. Prawdopodobnie jeszcze wczesnym rankiem. Schowane w szuwarach mogły opalać wszystkie zakamarki swego ciała. Teraz wszakże, kiedy postanowiły wracać, nie mogły wyostać się z zarośli. Maciej śledził ich wysiłki z dużym zainteresowaniem. Wreszcie odłożył aparat, sprawdził czy Mariola mogła dostrzec z tej odległości te same co on szczegóły, wszedł do wody i popłynął w kierunku kobiet. Odpychając się mocno nogami wyciągnął rower z sitowia. Wracając uśmiechał się. Przepłynął odległość jakiej nie pokonałby w normalnych okolicznościach. Ociekając wodą usiadł obok Marioli. Bawiła się aparatem.

— Na pewno oprawisz sobie te zdjęcia w ramki — powiedziała.

— Jeśli będą udane... naturalnie. Zapomniałem wprawdzie w pośpiechu nastawić właściwą przesłonę, zawsze to je-

dnak przyjemnie móc sprawdzić samego siebie.

— Żeby zobaczyć z bliska, to co się widziało z daleka.

— Jak zwykle sprowadzasz wszystko do niewłaściwych wymiarów. Mnie chodziło o pokonanie pewnej odległości.

— Ty natomiast potrafisz zawsze znaleźć jakiś przykład dla swoich teorii. Ciekawe co wymyślisz aby i mnie zrobić zdjęcie. Sprawdzić możesz się również... w małżeństwie.

## Sposób

Jadwiga była niezwykle piękną kobietą. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby Marek traktował jej ogromne powodzenie z lekkim przymrużeniem oka, tym bardziej, że Jadwiga nie dawała mu żadnego powodu do zazdrości. Przykładnie prowadziła dom, dbała o dzieci i nie prowokowała mężczyzn. Miała tylko jedną wadę. Lubiała się bawić. Przez sześć dni tygodnia Marek mógł być i był zupełnie spokojny. Nic nie zagrażało szczęściu ich domowego ogniska. Siódmego dnia, w sobotę, już od samego rana budził się w nim Otello. Rytm wspólnego życia wyznaczały bale, potańcówki i zabawy. Z żalem żegnał adwent, z radością witał post. Najgorszy był karnawał. Jadwiga była rozchwytywana jak szynka w Delikatessach — próbował kpić Marek i starając się zniechęcić wszystkich zalotników wyciekających clerpliwie w kolejce, wydzierał im tańce z Jadwigą aptekarską miarką, jak gdyby spod lady, gdy ewentualny podrywacz wydał mu się mało atrakcyjny. W przeciwnym wypadku tańczył z Jadwigą każdy taniec. Dla niej nie stanowiło to żadnej różnicy. Ona lubiła po prostu tańczyć. Dla niego była to wyłącznie ciężka praca fizyczna. Nóżka w górę. Nóżka w górę. Nóżki na stół. On nie lubił tańczyć.

Którejś soboty, a było to na dansingu w większym gronie znajomych, orkiestra zagrała w momencie gdy Marek wziął do ust większy kawałek szynki przyniesionej przed chwilą przez kelnera. Obok Jadwigi stał już i kłaniał się przystojny mężczyzna. Marek, starał się powiedzieć, że właśnie on miał zamiar zatańczyć ze swoją żoną, gdy Jadwiga odezwała się:

— Proszę mi wybaczyć, ale pierwszy taniec rezerwuję zawsze dla męża.

— Tak, tak, żona na pewno z panem zatańczy — wykrztusił z siebie Marek z trudem przyłykając mięso.

— Co za radość. Pierwszy taniec dla męża. A więc najpierw szyneczka. Potem tatar. Obowiązkowo. Później Chateaubriand na grzance. Koniecznie. Kawa. Kieliszek koniaku. Lody. Nieprędko zatańczymy sobie, kochanie. Nieprędko.



# „Co dzień bliżej nieba“



**N**owa książka Andrzeja Makowieckiego „Co dzień bliżej nieba” pod wieloma względami interesująca, ale kontrowersyjna, powinna wywołać wśród uważnych czytelników dużą rozbieżność sądów. Zaczniemy od jej pozytywów. Wartością humanistyczną książki jest zagadnienie wyobcowania, w kręgu którego znalazł się samotny osierocony chłopak. Żabicki nie mogąc się przystosować do warunków życia w internacie i czując się odrzucony i niesłusznie wzgardzony przez otoczenie z powodu braku umiejętności powierzchownego i byle jakiego współżycia z kolegami, szuka rekompensaty, zrozumienia i przyjaźni w innym środowisku. Tę rekompensatę odnajduje w znajomości z niejakim Kogutem, wywodzącym się z metów społecznych, chuliganerii i świata przestępczego. I tutaj trzeba od razu powiedzieć, że sposób, w jaki utalentowany autor wielu doskonałych reportaży opisuje próbę wyjścia Żabickiego z alienacji musi nasuwać zastrzeżenia. Autor „Co

dzień bliżej nieba” postąpił się efektywnym chwytem, a mianowicie: zauroczeniem swego bohatera postacią chuligana, wzmiankowanym Kogutem, który stał się dla infantylnego Żabickiego wzorem męstwa, odwagi, zręczności, sprytu życiowego (czytaj: ewanctwa!). Ten chwyt dał Makowieckiemu okazję do zademonstrowania znajomości życia ludzi z tak zwanego marginesu społecznego, do wykazania się dobrym warsztatem pisarskim i do opisu podpatrzonych z humorem scenek rodzajowych rozgrywających się na placach targowych, w melinach, szopach, knajpach, legowiskach cór Koryntu, a kończących się naturalną koleją rzeczy w komisariatach MO. Sceny te są popisem żywiołowej, lecz niekontrolowanej narracji. Zobaczyliśmy Łódź w nocy, dowiedzieliśmy się o „stylu” życia marginesu społecznego, o czym wiedzieliśmy niewiele w porównaniu z tym, co wie Makowiecki, bo i czegoż można się dowiedzieć z kronik sądowych lub z przeraźliwego wrzasku „Milicja!” jakim budzi nas często w nocy napadnięty przez chuliganów spóźniony przechodzień?

Ale koszty wiedzy, jaką zdobyliśmy, są wysokie i usuwają cię to, co mogło być dużą szansą humanistyczną, to znaczy, poszukiwaniem łączności z ludźmi i bardziej ważnym niż margines społeczny tematem o dramacie skrzywdzonego i wyalienowanego ze społeczności uczciwych ludzi chłopaka. Nasuwa się pytanie, czym wytłumaczyć, że „bohater” Żabicki uległ fascynacji chuliganem Koguta i że autor „Co dzień

bliżej nieba” zdaje się patrzeć na to z pobłażaniem? Na str. 86 znajdujemy wprawdzie coś w rodzaju próby odciążenia się pisarza od chuligana i jego wielbiciela: „Boże, jak ja się wtedy bałem. Jak wtedy żalowałem, że nie jestem w internacie... pośród tych wszystkich wsiowych prostych chłopaków, chrapiących głośno spokojnym uczciwym snem”. A więc zdawałoby się, że autor nie solidaryzuje się z Żabickim, że da mu szansę resocjalizacji. Ale cóż, kiedy o 40 stron bez mała dalej zaczyna się nowa faza zauroczenia Żabickiego Kogutem, który otrzymał wezwanie do odbycia służby wojskowej i powinien się stawić na punkcie zbornym na dworcu, lecz naturalnie nie stawia się i Żabicki jak zakochana pierwszą miłością dziewczyna poszukuje swego przyjaciela po ulicach Łodzi nie zdając sobie sprawy, że Kogut jest nie tylko chuliganem, ale i dezertorem. Gorzej, że i autor zdaje się nie zdawać sobie z tego sprawy. Nasuwa się wątpliwość, skąd to zailegalenie? Ale odpowiedź jest chyba prosta! Makowiecki dał się unieść porywającej go narracji, od której — trzeba to przyznać — czytelnikowi trudno się oderwać. Wyjątkowo zregna i ładna jest dysgresja — wspomnienie o pani z Rabki, dygresja, która tłumaczy fascynację czy — jak kto woli — opętanie Żabickiego Kogutem. Zgoda, lecz naciętniejsze uzasadnienie psychologiczne nie usprawiedliwia pisarza, który powinien panować nad tematem i nie dać się wciągnąć w zdradliwe wiry interesującej fabuły,

gdzie musi utonąć narażając się na zarzut braku dostatecznej rozważliwości obowiązuje pisarza. Szukam wytłumaczenia dla Andrzeja Makowieckiego, znanego i zdolnego reportażysty, i zdaje mi się, że ta sama powieść utrzymana w mniej angażującej pisarza-narratora konwencji w trzeciej osobie lub w konwencji reportażowej, a więc stwarzającej dystans, nie wzbudzałaby sprzeciwu, tak jak nie wzbudzał jej „czarny” reportaż „Prywatka u Scheiblera” o hienach na łódzkim cmentarzu ewangelickim drukowany w „Polityce”.

Natomiast w konwencji powieściowej, która jest domeną szerokiego uogólnienia artystycznego, Andrzej Makowiecki w dobrej wierze „kreował” Żabickiego i Koguta na „bohaterów pozytywnych”.

W sprawie odpowiedzialności twórcy pisał znakomity prozaik Jan Parandowski w „Alchemii słowa”: „Jest jakiś głos wewnętrzny, który słyszy pisarz w godzinie twórczej, głos przestrogi i nakazu. Stworzone przez pisarza postaci idą w świat... Są brane za przykład, wzór, naukę... Poczucie odpowiedzialności za dusze tworzone i dusze odbiorcze wzrasta z wielkością pisarza”.

Jestem przekonany, że Andrzej Makowiecki zrozumie znaczenie tej prawdy i jego następne powieści będą literaturą bez zastrzeżeń. Bo jak pisze Jan Parandowski: „Nie ma literatury bez powagi!”.

Andrzej Makowiecki: „Co dzień bliżej nieba”, Wydawnictwo Łódzkie, 1972.

KONRAD FREIDLICH

# PODRÓŻ DO ARKADII

„W naszym wieku w znacznej mierze pozbawionym złudzeń pisał autor „Szkiców sceptycznych” Bertrand Russell — nie umiemy już wierzyć w marzenia utopistów i społeczeństwa zrodzone z naszej fantazji odwarzają w wyolbrzymionej postaci zło, do którego przywykliśmy w codziennym życiu”. Wbrew temu gorzkiemu wyznaniu człowieka, który przez dziesiątki lat reprezentował autorytet

moralny naszej epoki, Andrzej Makowiecki w swojej najnowszej książce „Co dzień bliżej nieba” raz jeszcze odwołuje się do tradycji humanistycznej europejskiej i snuje przed czytelnikiem kolejne wcielenie mitu arkadyjskiego. Jest to, co prawda, wizerunek Arkadii negatywny, odwrócony, ale za to potraktowany z całą powagą, jakby Makowiecki wahał się przekreślić całą moralność europejską,

której kryzys tak dotkliwie ukazała nam ostatnia wojna.

„Mogłem tylko krzyżeć i tak głośno nie krzyżałem chyba nigdy w życiu.  
— Kogut! Uciekaj, Kogut! Może ten krzyk go zabił... może niepotrzebnie go ostrzegłem...” — konstatuje narrator powieści, Piotr Żabicki.

Skąd my to znamy? Krzyk, który zastępuje działanie; współodpowiedzialność za coś, na co się nie miało wpływu. Nie, Makowiecki nie napisał powieści wojennej, jednej z tych książek, które aż po ostatnie dni służą krytyce jako materiał do rozważań o stanie naszej świadomości. Bohater Makowieckiego nosi w sobie dziedzictwo wojny zaledwie genetyczne. Ale jest na nią uwarżliwiony i to podwójnie.

— Będzie wojna! Jak nie, będzie wojna! — krzyzał Longin.  
— Eee, jeszcze nie tak szybko — powiedział ten obcy.  
— Co, nie szybko?  
— Ameryka boi się wojny.  
— Wcale się nie boi. Stalina to może się bała, ale teraz... Spokojnie można budować schrony”.

Nie, to nie relacja o czynach bohaterów, ani nawet

odwołanie się do doświadczenia wojennego. To totalne, bo w ogóle pierwsze doświadczenie Piotra Żabickiego, którego samoświadomość przypada na centralne lata „zimnej wojny”, kiedy kryzys moralności europejskiej ujawnił się z całą mocą po raz drugi. Niech nas więc nie zmylą pozory; niech nas nie łudzi fakt, że bohater Makowieckiego doświadcza prawdziwego życia w środowisku półwykolejńców, że tam właśnie odnajduje wartości najwyższe i odwieczne: przyjaźń, zrozumienie, współczucie. Pewnie, że to utopia, ale z utopii rodziły się najszlachetniejsze ludzkie porwy, które z dumą uważamy za zbiorowy dorobek całej ludzkości. Pewnie także, że wołałbym Makowieckiego — bluźnierco, który ma odwagę temu dorobkowi zaprzeczyć. Przeciwnie! Skoro jednak znajdujemy się na terytorium znanym, wydeptanym, odrzućmy pozory, potraktujmy muszę jego powieść jako jeszcze jedną próbę ocena moralności europejskiej a poszukiwania Żabickiego jako studium przyjaźni. Rzeczelnosć obserwacji, znajomość środowiska to dodatkowe walory książki, które jednak nie mają już istotnego wpływu na jej odczytanie.

## POLONICA

O LITERATURZE POLSKIEJ W NRF

LITERATURA POLSKA WE FRANCJI

Dość dobrze znane są wysiłki tłumaczy z literatury polskiej i raz po raz dowiadujemy się o ukazaniu książek autorów polskich poza granicami kraju. Mniej natomiast znane są prace sławistów, poświęcone literaturze i językowi polskiemu. Godzi się więc odnotować, że w Verlag Otto Sagner w Monachium ukazano się kilka prac, wystawionych m. in. na tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, a poświęconych literaturze polskiej, a to mianowicie: J. Adamiak „Das Plusquamperfectum im Polnischen”, Juliusza Mroska „Das polnische Bauertum im Werk Eliza Orzeszkowa”, Ilse Kunert „J. U. Niemcewicz: Spiewy historyczne. Geschichtsauffassung und Darstellung”, Verlag Otto Sagner specjalizuje się w publikacjach z literatury słowiań-

skich i oferuje przeszło 60 prac z tego zakresu. (er)

Nowy numer paryskiego czasopisma „France-Pologne”, organu Towarzystwa Przyjaciół Polski we Francji, jest poświęcony kulturalnym i gospodarczym stosunkom polsko-francuskim. Catherine Lery pisze tu o Czytelnicy Francuskiej w Warszawie, Anna Posner zamieszcza rozmowę z laureatem nagrody francuskiej za najlepszy przekład Jerzym Lisowskim, Jean Sidoreau mówi o francuskim filmie Borowczyka „Blanche”, Christiane Lacour o wieczorze poświęconym Boyowi na Sorbonie, na którym wygłosił odczyt: prof. Jean Fabre i Wojciech Natanson. Pisimo podkreśla zasługi Boya-Zeleńskiego, jako świetnego tłumacza francuskich arcydzieł, od pism Villona i Montaigne'a po Prousta. (W. N.)

## POLONICA

## Przeszłość i terażniejszość

Przeprowadzone w drugiej połowie lat sześćdziesiątych badania socjologiczne nad współczesną świadomością Polaków wykazały, że aż 65 proc. ogółu zapytywanych o to, jak ich zdaniem historycy oceniają w przyszłości „okres powojennego dwudziestolecia naszej historii”, odpowiedziało że „zdecydowanie dodatnio i raczej dodatnio, z podkreśleniem pewnych ujemnych stron”. Aż 34 proc. respondentów pochodzących ze środowisk miejskich i 45 proc. ankietowanych na wsi odpowiedziało, że gdyby miało wybierać czas, w których przyszyłoby im żyć, wybrałoby obecną terażniejszość. Za czasami przedwojennymi opowiedziało się tylko ok. 10 proc. zapytywanych w miastach i ok. 13 proc. ankietowanych na wsi. Z wyborem współczesności może jedynie konkurować przyszłość: tam pragnęłoby się przenieść ok. 25 proc.

ankietowanych ze środowiska miejskiego i ok. 39 proc. ze wsi. Badania te, choć prowadzone były w latach, w których nie brakowało u nas dotkliwych nieraz napięć społecznych, uwiaryliwiały zjawisko „niesłychanej AFIRMACJI TERAŻNIEJSZOŚCI” przez polskie społeczeństwo. Wyborowi terażniejszości towarzyszy wzmożone zainteresowanie jej BEZPOŚREDNIA GENEOLOGIA. Z badań przeprowadzonych w 1970 r. wiadomo, że na czele zainteresowań historycznych znalazła się szeroko rozumiana problematyka dziejów najnowszych ze szczególnym akcentem położonym na lata II Wojny Światowej. Jedynie nieco ponad 6 proc. ankietowanych wypowiedziało pogląd, że tematyka II Wojny jest zbyt obficie reprezentowana w radio i telewizji, znacznie więcej, bo ponad 16 proc. słuchaczy radia i wię-

cej niż 21 proc. telewizjów pragnęłoby jej rozszerzenia. Socjolog opracowujący wyniki ankiety stwierdza, że aż ponad 38 proc. respondentów domagało się więcej informacji o poszczególnych, wybranych zagadnieniach z dziejów II Wojny Światowej. Są to kręgi problemowe najmniej znane, w

się na takie, a nie inne jej ukształtowanie. Wzrost zainteresowania najnowszymi dziejami Polski, zarówno wojennymi, jak wcześniejszymi, jaki obserwujemy od wielu lat w naszym kraju, nie oznacza więc w aktualnej sytuacji ucieczki od nieakceptowanej terażniejszości w inny,

aby uzasadniła nasze terażniejsze racje; skoro zostały one w pełni przyjęte za własne, zadaniem refleksji historycznej jest przede wszystkim prawdziwe wyjaśnienie, jak do tego doszło. Zjawisko owej — mówiąc słowami zdziwionego nieco socjologa — „niesłychanej afirmacji terażniejszości”, jaka dokonała się w społecznej świadomości Polaków domaga się nie tylko ZAUWAŻENIA. Prowadzi również do WNIOSKOW. Jeden z nich jest taki, że zainteresowania problematyką międzywojenną, dzieja-

mi ruchu oporu i podobnymi zagadnieniami bynajmniej nie oznaczają, że interesujący się nimi pragnęliby się przenieść w dobrą sanację albo marzą o zwycięstwie obcych nam nurtów politycznych z czasów wojny. Coś się w świadomości Polaków zmieniło i z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Nie wystarczy wiele MÓWIĆ o sukcesach socjalizmu w naszym kraju — należy je przede wszystkim WIDZIEĆ i wysnuwać z tego WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ.

JÓZEF GRZELAK

## Znów o historii najnowszej

kolejności wedle liczby wypowiedzi: udział Polaków w walkach na Zachodzie, dzieje ruchu oporu, życie Polaków pod hitlerowską okupacją, losy Polaków w ZSRR itd. Afirmacja terażniejszości idzie więc w parze ze wzmożoną ciekawością tego wszystkiego, co złożyło

dawniejszy świat. Przeciwnie, wyrastając z szerokiej społecznej afirmacji socjalistycznej rzeczywistości wyraża pragnienie lepszego niż dotąd, poznania, wszystkiego, co w dziejowym procesie do niej doprowadziło. Od historii nie żąda się dziś jedynie,





ROMAN ŁOBODA

# „UCZEŃ DIABŁA“

**B**ernard Shaw należy do dramatopisarzy, których sztuki pamięta się długo. Wielki Irlandczyk bowiem — laureat Nagrody Nobla — buduje akcje frastrujące i stwarza postacie sugestywne. Któż z lodzian nie pamięta „Szczygłego zaulka”, „Żołnierza i bohatera”, „Profesji pani Warren”, „Pygmaliona” czy nawet „Major Barbary” granej przed dwudziestu pięciu laty w „Teatrze Kameralnym” na Tuwima. Inna rzecz, że u Meliny, ówczesnego dyrektora „Kameralnego” grała wówczas cała „kameralna” czołówka aktorska: Eichlerówna, Szaflarska, Mrozowska, Borowski, Lapicki, Duszyński i wielu innych.

Shaw jest uważany za komediopisarza i ojca dialektycznego teatru. Ale Shaw potrafi w utworze, którego dowcip jest oparty na słowie, a nie na sytuacji, zawrzeć tyle rzeczywistych treści społecznych i tragicznych ludzkich spraw, że komediowość wielu jego utworów wydaje się dodatkiem do tragicznej treści. Shaw jest złośliwy i przewrotny artystycznie (ponoć taki w życiu prywatnym był); stawia tezę, którą w miarę upływu akcji kompromituje, a często i ośmiesza.

Shaw napisał sztukę pt.: „Zbyt prawdziwe, żeby było dobre”, i właśnie tak podchodzi do swej, z góry założonej, tezy dramatycznej: zbyt prawdziwe, zatem odklamać to trzeba z pozorów.

Zabieg musi być przeprowadzony z precyzją, przy pomocy akcji, a także dyskursu toczącego się w sferze intelektualnej argumentacji. Aż dziw, że ten gatunek pisarski zdobył sobie tak wielki aplauz pod koniec dziewiętnastego wieku. Ale Shaw jest nie tylko majestrem słowa i fabuły. Shaw walczy i to nie na żarty... Obala obyczajowe, polityczne, filozoficzne mity — produkty mieszczańskiego myślenia i odczuwania. Jest bezlitosnym racjonalistą i — na swoje czasy — nowoczesnym, postępowym artystą. Aż dziw, że konserwatywni Anglicy nobilitowali tego byłego kasjera i nieudanego dziennikarza. Autor „Mezalianisu” nie zaczynał jednak od zera, drogę przetrwał mu Ibsen, który z konsekwencją, powagą i wnikliwością demaskował bezmyślność i zakłamanie. H. J. Ibsen nie żartował, nie sztychł jak Shaw, ale poruszał z nie mniejszą odwagą generalne zagadnienia moralne, społeczne, religijne i polityczne swego czasu. (1826 — 1906).

Czymże jest utwór Shawa pt. „Uczeń diabła”?

Zgódźmy się — jest to komedia tym bardziej, że Aleksander Strowski, reżyser przedstawienia w „Teatrze Powszechnym”, zdecydowanie wyeksponował właśnie akcenty komediowe utworu.

I nie zwodzi nas fakt, że rolę Anny Dudgeon gra Jadwiga Andrzejewska, aktorka, którą zwykliśmy okłaskiwać w świetnych komediowych kreacjach; nie ona jest „nosieliem humoru”. Jadwiga Andrzejewska z powagą odtwarza rolę matki Ryszarda — ucznia diabła.

Podobnie traktuje swą rolę pastora Andersona Czesław Przybyła. Nawet wówczas, gdy Andersona reakcje wywołują śmiech na sali nie jest to zasługa ani wina Czesława Przybyły, tylko efektem rekwizytów i zderzeń sytuacji, co

w zasadzie byłoby niekonsekwencją w stosunku do konwersacyjnego stylu aktorstwa komediowego, który narzucają utwory Shawa.

Przybyła nie poddaje się presji sytuacji, nie zauważa komediowości, którą reżyser przenosi także na niekomediowe osoby dramatu, czyli takie, których ani akcja, ani tekst nie zmusza czy upoważnia do rozśmieszania widowni.

Reżyser świadomie, jak się wydaje, zmierza do ujednoczenia spektaklu; korzysta zatem z każdej nadarzającej się okazji, by „serio” potraktowaną w utworze postać nieco podbarwić komediowością.

Bardzo miła i ładnie rozwiązana technicznie scena Judyty Anderson i Ryszarda Dudgeona w drugim akcie, gdy pozostają sami w domu pastora, po jego odejściu, ta scena najlepiej charakteryzuje reżyserские intencje. Zona pastora, która z wdziękiem gra *Teresa Kaluda* przeżywa tak zwane mieszane uczucia: strach przed i pociąg do diabolicznego Ryszarda, Ryszarda, czyli ucznia diabła, gra *Janusz Kubicki*. Jest żywiołowy, elokwentny i pewny siebie, jak przystoi uczniowi przedstawiciela ciemnych mocy. Scena ta, jakkolwiek podoba się, jest farsowa, chociaż z tekstu wynikałoby, że ma ukazywać złożone stany psychiki ludzkiej.

Po statycznym pierwszym akcie, który w dodatku jest pozbawiony siły konwersacyjnej III aktu, mocny akcent komediowy II aktu ożywia nieco spektakl; można zatem zrezygnować z tych „złożonych uczuć” uznać za skuteczny zabieg reżyserski.

Wydaje się, że skomplikowane zabiegi Shawa wokół tezy, którą obala inna, odbiły się na klarowności konstrukcji utworu. Jest on niejednolity i pomimo szczyrzych wysiłków reżysera i aktorów spektakl nie da się całkowicie ujednoczyć, szczególnie w interpretacji aktorskiej.

Najlepszy w utworze i najlepszy scenicznie III akt daje dużo satysfakcji. Znakomite; dowcipne, ciekawe i najbardziej korespondujące ze współczesnością dialogi w wykonaniu *Jerzego Przybylskiego* (Generał John Burgoyne), *Tadeusza Sabary* (Major Swindon), *Bogdana Kopciowskiego* (Sierżant) i *Janusza Kubickiego* — to pokaz możliwości aktorskich opartych na doświadczeniu.

Szczególnie interesująco, w najbardziej inteligentnych i dowcipnych fragmentach utworu, wypadł Jerzy Przybylski. Dorównywał mu interpretacyjnie Tadeusz Sabara, Halina Billing, Alicja Sobieraj-Staszewska, Bohdan Sobiesiak, Jerzy Szpunar, Ryszard Żuchowski, Bronon Bukowski dostroili się do pierwszoplanowych postaci sztuki, która w sumie jest jeszcze jedną interesującą premierą teatralną w mieście.

Scenografia Elżbiety I. Dierych dyskretna, może nawet zbyt stonowana, czego nie można powiedzieć o przerywnikach muzycznych (opracowanie muzyczne Bogdana Pawłowskiego) w zestawieniu z różnymi nastrojami sztuki.

GEORGE BERNARD SHAW — „Uczeń diabła”, przekład BRONISŁAW ZIELIŃSKI, reżyseria: ALEKSANDER STROWSKI, scenografia: ELŻBIETA I. DIERYCH. Państwowy Teatr Powszechny w Łodzi.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

**S**pośród nagród, którymi udekorowano film Elio Petriego „SLEDZTWO W SPRAWIE OBYWATELA POZA WSZELKIM PODEJRZENIEM” wybieramy choćby tylko Nagrodę Specjalną Jury i nagrodę FIPRESCI na Festiwalu w Cannes w 1970 r. i Oscara 1970 r. dla najlepszego obcojęzycznego filmu roku. Film uznano we Włoszech za wydarzenie polityczne i poświęcono mu dyskusję „okrągłego stołu” z udziałem polityków, prawników i przedstawicieli policji.

Bezspornego sukcesu filmu nie można przypisać wyłącznie jego sensacyjnej tematyce i doskonałości realizacji. Podjął widać Petri problemy nie tylko na zasadzie sensacji bulwersującej opinię publiczną. Sam reżyser zamierzenia swe określił następująco: „U podłożu „Sledztwa...” leżała intencja ściśle określona: zaatakowanie policji, która w okresie trwających we Włoszech od kilku lat napięć społecznych i politycznych, zwłaszcza w trakcie wydarzeń roku 1968, odegrała rolę nazbyt aktywną. W działaniu jej wyraził represyjny charakter społeczeństwa burżuazyjnego: „chciałem zdemaskować tę sytuację i stosunki oparte wyłącznie na autorytecie władzy”. Atak o którym mówi, jest przeprowadzony w jego filmie w sposób niezwykle gwałtowny i sugestywny. Gwałtowność tę określa zakres oskarżenia obejmujący nie tylko metody stosowane przez policję, ale ją samą jako instytucję. Sugestywność zaś — sposób prezentacji tematu, tworzenie atmosfery strachu i ogólnego zagrożenia. Jeśli u steru władzy policyjnej jest szaleniec i morderca, jeśli bez względu na okoliczności pozostaje on „obywatelem poza wszelkim podejrzeniem”, nawet wtedy gdy „wszystkie fakty świadczą przeciw niemu to znaczy, że policja jest poza prawem, a to z kolei znaczy, iż znajduje się ona poza społeczeństwem. Taka wydaje się logika praw przez społeczeństwa ustanawianych.

Wydaje się, iż do tego twierdzenia zmierzają cały wywód Petriego, nie jest jednakże „Sledztwo” wyłącznie filmem z tezą. Dochodzi się do niej drogą szczegółowych analiz całego mechanizmu funkcjonowania policji, która w tym filmie znać czy tyle co władza i jej nadużycie. A przyznać trzeba, iż Petri prowadził swe analizy ścieżką bardzo niebezpieczną, nieustannie lawirując między bezsporną wartością oskarżycielskiego politycznego pamfletu, a atrakcyjnością li tylko kryminalnej, nie pozbawionej pikantem, historii. Żelazna logika analitycznego postępowania nie pozwoliła mu jednak przejść na tę drugą stronę.

Nielatwo było dowiedzieć, że wagi oskarżenia nie osłabia przykład osobnika, którego działanie determinuje patologia, co więcej udowodnić przy pomocy takiego właśnie przykładu, iż szalenstwo ogarnia zarówno tych, którzy władzy swej nadużywają, jak i tych, którzy nadużycia te tolerują, podporządkowując się autorytetowi władzy, pozwalając by to, co winno być poza społeczeństwem jest siłą nim kierującą.

Wspominałam o pamfletowym tonie sledztwa nie bez kozery Petri nadal go swemu filmowi już przez sam wybór i charakterystykę bohatera, przez użyczenie go motorem sledztwa przeciwko samemu sobie, po to, by udowodnić swą siłę, by poddać próbie system, którego sam jest ogniwem. W pomysłcie tym tkwi cały demaskatorski i ośmięszający, ale przez to właśnie groźny i oskarżycielski sens filmu Petriego, który na pamfletie i sarkastycznej grotesce jednakoż nie poprzestaje. Zbyt dramatycznie brzmi, zbyt dziejami również włoskiego faszysty i także dniem współczesnym zdeterminowany jest sens inauguracyjnego przemówienia „obywatele” — szefa sekcji kryminalnej obejmującego kierownicze stanowisko w sekcji politycznej. Kariera filmu Petriego na ekranach świata tłumaczy się

w sposób niezwykle oczywisty, choć wszędzie znajdują się tacy, którzy bohatera „Sledztwa” traktować będą tylko jako przypadek kliniczny.

\*\*\*

Członkom Klubów filmowych, ale zwracam uwagę, że również bywałom kin studyjnych, dana jest przepiękna zabawa, jaką jest film „WALERIA I TYDZIEŃ CUDÓW” Jaromila Jiresa. By uczestniczyć w tej zabawie, trzeba się poddać siłom nadprzyrodzonym, czarom, które powołują do życia upiory i wampiry, wszystkie straszności, które wymyśliła ludzka wyobraźnia, ale i ludzkie marzenia, a którym kino umie tak pięknie służyć. W świat ten wprowadza nas swymi marzeniami „flindesleciowa” panielka, Marzenia Walerii to świat wszystkich mitów, legend i czarów, postaci z bajek dziecięcych, ale i z opowieści grozy, to korowodów symboli, które się zna, nosi w sobie i odnajduje w bardzo poetyckim, wciągającym swą magią iluzji filmie Jiresa. Sny Walerii, jej udział w dziwnym, barwnym świecie fantazji to również jej czas dorastania, konfrontacji dzieciństwa i dorosłości, czas pierwszych erotycznych doznań i wyobrażeń, ale nade wszystko czas, w którym wszystko jest możliwe. Ta nieprawdopodobna możliwość jest głównym walorem urody tego filmu, zrodzonego z fantazji klasycznej literatury czeskiej V. Nezvala, a zrealizowanego przez pełnego znakomitych pomysłów reżysera i operatora J. Curka, który stworzył urzekające tak kompozycją jak i kolorem zdjęcia. Scenografia i kostium, w którym odnajdujemy wszystkie style i epoki dopełniają cudownej niemożliwości pięknych snów Walerii, które kino pozwoliło nam podpatrzeć.

EWA NURCZYŃSKA

## TELEOBIEKTYW

### LETNIE STRACHY

Sezon letni, wbrew mirażom wszelakiej szczęśliwości, jest jedną z najgroźniejszych, pełną zasadzek i niebezpieczeństw por roku. Charakteryzuje się bowiem wzmożoną liczbą pożarów, zatonięć, wypadków drogowych. Osobiście nie lubię słuchać co mi grozi, gdy będę palił papierosa, jeść lody, robić przeciągi, kapać się w rzecze, jeździć samochodem, lub przechodzić przez jezdnię. Albowiem niebezpieczeństwa cychają wszędzie i nawet gdy się ich uniknie, to i tak umiera się na coś innego, albo nie dać Boże — ze starości.

Zdaje sobie jednak sprawę ze szkodliwości takiej filozofii na użytek społeczny i — porzucając już ton żartobliwy, uważam za konieczne przestrzeżenie ludzi przed niebezpieczeństwami brawury, nieostrożności, lekkomyślności czy odwagi, która wynika z nieświadomości niebezpieczeństwa. Stają się one bowiem źródłem wielu nieszczęść i tragedii, których można było uniknąć. Wydaje się, że telewizja jest najskuteczniejszym, najsensowniejszym (bo na słuch i wzrok działającym) środkiem masowego przekazu, mającym największe szanse skutecznego przestrzeżania i przywoływania do zdrowego rozsądku.

Ostatni „Magazyn medyczny” rolę taką chyba spełnił. Zajął się omówieniem skutków lekkomyślnych kapieli, prowadzących do śmierci lub trwałego kalectwa. Przeprowadzono też krótką lekcję udzielania pierwszej pomocy tonącym. Sądze, że ci wszyscy, którzy ową audycję obejrzeli, wynieśli z niej naukę, podaną w przystępnej formie, opartą o wiedzę medyczną.

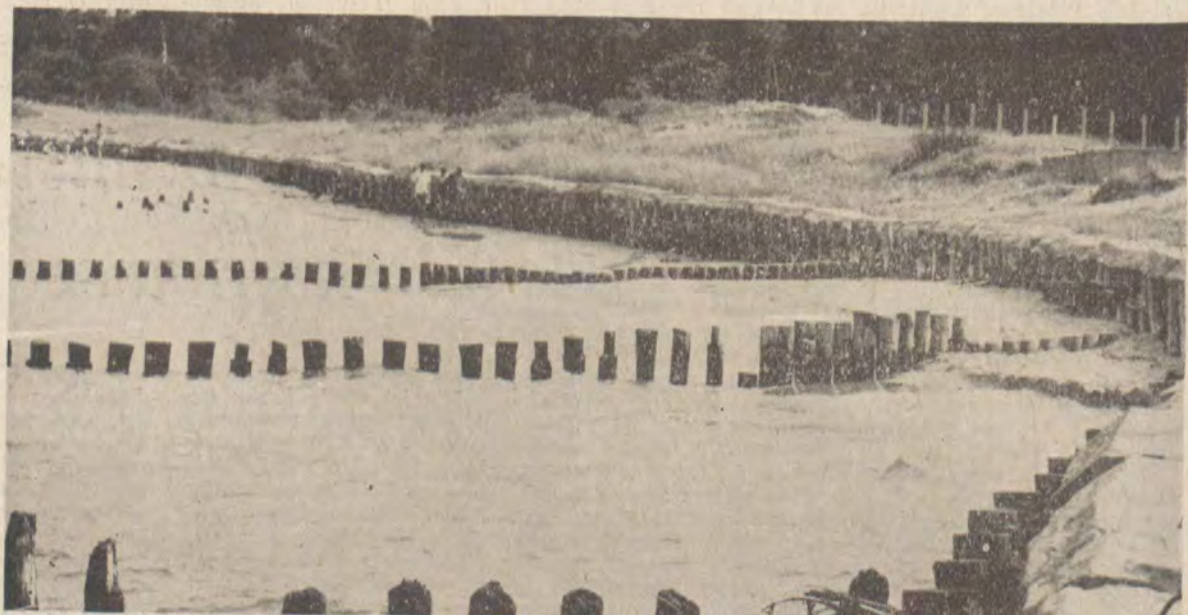
Dobłą rolę spełniają też telewizyjne audycje, konsekwentnie prowadzone, a mające na celu zwiększenie bez-

pieczeństwa na drogach i szpach. Reportaże z kontroli ruchu drogowego, komentowanie przyczyn wypadków mają zapewne, niemając siłę oddziaływania. Osobiście sądzę jednak, że lepiej byłoby gdyby lektorzy nie zaopatrywali tych audycji następującymi konkluzjami: „Proszę państwa, jak widać same maskotki nie zapewnią kierowcom bezpieczeństwa, potrzebna jest także ostrożność”. Kierowca bowiem, zgubiwszy na przykład swoją maskotkę, może wpaść w panikę, że od tej chwili zdany jest wyłącznie na własną ostrożność i z tego przerażenia gotów spowodować wypadek. Co jeszcze bardziej utwierdzi jego wiarę w moc maskotki.

Przed nieszczęściami cychającymi na samotnego kierowcę — szczególnie słomianego wdowca — ostrzegaj również Antoni Marianowicz w Teatrze Rozrywki. „Uważaj na zakrętach” to przedstawienie niewątpliwie o walorach dydaktyczno-wychowawczych, ubranych w atrakcyjną formę rozrywki. Emanacja Simki-Aronde zmateriałizowała się w osobie Lidii Wysockiej po to, by ostrzec swego właściciela Wiesława Michnikowskiego, aktualnie słomianego wdowca, przed niebezpieczeństwami wynikającymi ze znajomości z dziewczyną stojącą za najbliższym zakrętem. Wizja emanacji zmateriałizowanej w osobie Lidii Wysockiej była jednakże spiętrzeniem sytuacji tyle banalnych co nieprawdopodobnych i zapewne skutkiem tego ani nie bawiła ani nie była pouczająca. Dla słomianych wdowców oczywiście. Dla mnie była pouczająca o tyle, że wreszcie zrozumiałam po co istnieją u nas dwa programy telewizyjne. Po to, by większość pozycji mogła świecić dwie premiery, każda na innym kanale.

Tak to bowiem miało miejsce z „Uważaj na zakrętach”. Wiele uczonych artykułów napisano już na temat koordynacji czy może raczej jej braku w obu programach telewizyjnych. Żaden z tych artykułów nie kończył się jednak konstruktywnym wnioskiem. Ja mam propozycję może nie tyle konstruktywną, co skuteczną: oddać drugi kanał w ręce jakiejś „firmy konkurencyjnej”. Nie ma to jak zdrowa konkurencja u nas zwana rywalizacją. Wraz z bodźcami materialnymi.

JOANNA SERGONT





# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## STO OBRAZKÓW MALOWANYCH PRZEZ WIETNAMSKIE DZIECI

W większości są to akwarele wykonane przez dzieci szkolne w wieku od lat 8 do 12. Obrazki te przywiezła do Paryża z Hanoi delegacja Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Wietnamskiej. Kolekcja ta będzie pokazana na wystawie w Paryżu w październiku br., a następnie na

wystawach w kilku innych miastach Francji. Po raz pierwszy Francuzi mają możliwość zapoznania się z twórczością malarską dzieci z Wietnamu. Oglądając te obrazki odnosi się zdumiewające wrażenie, że większość z nich nie przedstawia bezpośrednio grozy wojny, bombardowań, trupów i rannych, choć przecież kraj jest ustawicznie nekany nalotami amerykańskich samolotów. Obrazy

te przedstawiają przeważnie dorosłych i dzieci przy ich codziennych zajęciach, w pracy, nauce, w drodze do szkoły itp. Istnienie wojny daje jednak o sobie znać choćby przez widok słomianych kapeluszy maskowanych zielenią, przy czym nawet na obrazkach gdzie widać przykrywanie gałkami lub armat przeciwciołniczych, nie dostrzega się paniki lub lęku wśród mieszkańców. Życie płynie normalnym nurtem.



## FILM O HALLYDAYU

Na ekrany kin paryskich wszedł właśnie długometrażowy film o Hallydayu. Autorem jest Francois Reichenbach, który poprzednio nakręcił filmowe portrety m. in.

Artura Rubinsteina, Yehudi Menuhina, Brigitte Bardot. Jak zaczęła się kariera estradowa Johnny Hallydaya? Reichenbach stara się ją ukazać od samych początków. Mały Johnny zawsze lubił śpiew i muzykę. Jego "krewni" w

Ameryce przysyłali mu na gwiazdkę prezenty, a wśród nich płyty z najświeższymi nagraniami. W ten to sposób młody Hallyday zapoznał się m. in. z nagraniami Elvisa Presleya. Zafascynowany zaczyna sam imitować ulubionego śpiewaka, który



JOHNNY HALLYDAY podróżuje w domku na kółkach przez Francję

naówczas nie był jeszcze we Francji znany. Na estradzie Johnny Hallyday ukazał się po raz pierwszy w roku 1958. Wystąpił w programie wokalnno-muzycznym zorganizowanym w nieistniejącym już dziś music-hallu „Alhambra” w Paryżu. Jego dziwny, jak się wtedy wydawało, szokujący sposób śpiewu, jego pokrzykiwania, mlotanie się po scenie, jego gesty przypominające szaleńca sprawiły, że nie przygotowani na to widzowie poczuli się obrażeni, sądząc, że ktoś sobie z nich zakpił. Wygwizdano przyszłą gwiazdę estrady.

I tylko kilka osób na widowni rozumiało, że Johnny Hallyday może mieć przed sobą wielką karierę estradową. Wśród tych osób znalazł się właśnie Reichenbach. Znal on zresztą coraz większym powodzeniem cieszący się w Ameryce styl rocka i słyszał o sukcesach Presleya. Już następnego dnia Reichenbach nakręca kilka fragmentów z występu Hallydaya w „Alhambrze”, a dziś jest to niezwykle cenny dokument filmowy, dający świadectwo o początkach kariery bożyszczka nastolatków. W cztery lata później Hallyday odnosi niebywały sukces w paryskim Palais de Sports. A są to już lata, kiedy rock podbija powoli Francję. I znów Reichenbach towarzyszy sukcesom śpiewaka ze swą filmową kamerą.

W roku 1971 pechowy debiutant z „Alhambry” osiąga szczyty sławy i staje się bożyszczem młodzieży. I tak już zostanie po dzień dzisiejszy. Od lat dwunastu Johnny Hallyday śpiewa i zawsze dla nastolatków.

Życie prywatne Hallydaya jest równie niespokojne i szalone jak jego występy na estradzie. Pije alkohol, wszczynając bójki na ulicach, pędzi swym autem na złamanie karku, podobnie średnio rozbiła trzy wozy rocznie. W jednym z wypadków ciężkie rany odniósł jego żona, Sylvia Vartan. Kocha ją Johnny, ale ich pożycie jest burzliwe, z rozstaniem i powrotami. Johnny ma skłonność samobójczą. Zarabia mnóstwo pieniędzy, ale często jest bez grosza i zadłuża się. Jego wrogowie twierdzą, że jest wariatem i że ludzie wreszcie to sobie uprzytomnią i wielki Johnny skończy się jako artysta. Jego przyjaciele mówią, że Hallyday jest po prostu symbolem naszej szalonej, nierównoważonej epoki, a przynajmniej, że jest on uosobieniem nastolatków naszych czasów, niespokojnych, szukających czegoś, buntujących się przeciw starym, zastalym formom

życia i obyczajów. Tak czy inaczej jest faktem, że rocznie około pięćdziesięciu milionów młodych przychodzi na występy Hallydaya, by go podziwiać i oklaskiwać, nieraz burzliwie okazywać mu swój entuzjazm.

Ostatnio Johnny Hallyday ruszył na objazd Francji. Ma się zatrzymać w 85 miejscach. Przez 92 dni, począwszy od 16 czerwca br. wędrować będzie przez kraj karawana, którą nazwano „Johnny Circus”. 54 auta wiozą 285 ton rozmaitych urządzeń dla rozbiicia oibryzmego, jakby cyrkowego namiotu, który pomieści sześć tysięcy widzów każdorazowo. „Johnny Circus” to już właściwie ruchome miasteczko, gdyż prócz personelu liczącego 129 osób, niezbędne przy organizacji występów Hallydaya, jadą na kółkach bary i sklepy. Domek w którym jedzie sam mistrz wyposażony jest luksusowo.

## KOMEDIA FRANCUSKA UCZCI TRZECHSETLECIE ŚMIERCI MOLIERA

Dla uczczenia trzechsetnej rocznicy śmierci swego „patrona”, Moliera, Komedia Francuska w okresie od grudnia br. do Wielkanocy 1973 roku wystawi szereg sztuk molierowskich, kilka w nowym opracowaniu.

## OLIMPIADA I SZTUKI PLASTYCZNE

W związku z bliskim terminem rozpoczęcia igrzysk olimpijskich w Monachium przygotowano tam m. in. wielką wystawę sztuki pn. „Kultury świata i sztuka nowoczesna”.

Niedawno wystawa ta została otwarta (najpierw dla wybitnych osobistości, później dla wszystkich). Zamknięto ją jednak po upływie trzech godzin. Okazało się bowiem, że zginął ze ścian jeden z obrazów Degasa. Natychmiast przeprowadzone energiczne śledztwo wykazało, że dzieło ukradł prawowity właściciel, który je wypożyczył na wystawę. Zabrał obraz w obawie... przed kradzieżą. Płótno wróciło już na swoje miejsce, a straż na wystawie wzmocniono.

Ekspozycja zgromadziła 2.700 obiektów sztuki z całego świata. Zgodnie z tytułem, wystawa ukazuje, jak nigdy przedtem wyraźnie, wpływy rozmaitych ośrodków kultur świata na europejską sztukę nowoczesną. Po obejrzeniu wystawy widz orientuje się więc np. jak potężne wpływy na sztukę naszych czasów miały kultury orientalne, azjatyckie, afrykańskie. Tak np. uderzające jest oddziaływanie



sztuki egipskiej i orientalnej na rzemiosło artystyczne i europejskie budownictwo XIX wieku. Perskie zaś miniatury stawiały się nieraz źródłem inspiracji romantycznego malarza francuskiego Delacroixa. Czestokroć też kultury Dalekiego Wschodu wywierały swój znaczny wpływ na dziewiętnastowieczne malarstwo, grafikę i ceramikę w Europie. Japońscy mistrzowie z XVIII i XIX wieków tacy jak Hokusai czy Hiroshige wywarli niezaprzeczonego wpływu na dzieła Maneta, Moneta, Toulouse-Lautreca, Degasa czy van Gogha. Niektóre wschodnie prace w sztuce artystów-kaligrafów znalazły swój europejski odpowiednik w naszym ekspresjonizmie. W niedługim

czasie po modzie na malarstwo japońskie, artyści europejscy znaleźli inne jeszcze źródło inspiracji twórczej — kultury Czarnego Lądu i Wysp Oceanicznych. W tych to właśnie inspiracjach można się z powodzeniem dopatrzeć źródeł powstania kubizmu i ekspresjonizmu. Ponadto wpływy te zaznaczyły się w sposób bardzo wyraźny w twórczości Pissassa z tzw. „periode nègre” czy w malarstwie dreźnieńskiej grupy „Most”.

Zwiedzający monachijską wystawę zauważali jeszcze jeden obraz abstrakcyjny, którego ze zdziwieniem nie mogli odszukać w starannie ułożonym katalogu. Jak się okazało było to dzieło rzemieślników pracujących przy urządzeniu wystawy.



Lowicka sztuka ludowa



WYPISY

Z WAŃKOWICZA

**ZYWOT CZLOWIEKA MYSLACEGO A MOZE BRYK? A ZGRYZLIWOSC NASZA Powszednia A „KLIMATY” JAKO DRUK SCISLEGO ZARACHOWANIA A SZEWC I KANONIK A NIE POTRAFIE NAPISAC RECENZJI**

Melchior Wańkiewicz wydał ostatnio dwie wersje swojej głośnej książki o Monte Cassino. Jedną — potężną monografię z 2 tysiącami zdjęć; drugą — skromniutki, parokultuszowy skrót, chciałoby się rzec — wypisy. Czy to źle? Myślę, że dobrze. Potężna monografia ma niewielki nakład i wysoką cenę, wypisy mają na-

kład masowy i kosztują 10 złotych.

Przyszło mi to skojarzenie do głowy kiedy po trudach kupilem wreszcie tom publicystyki Wańkiewicza „Przez cztery klimaty” Książka już głośna, już na pierwszych stronach czasopism czytamy jej omówienia. Książka podsumowująca żywot człowieka myślące-

go a jednocześnie „druk ścisłego zarachowania”, który zniknął z księgarń jak sen jaki złoty. Nawiasem mówiąc złotych sześćdziesiąt pięć.

Przyszło mi do głowy tamto skojarzenie ponieważ i z „Czterech klimatów” mógłby Wańkiewicz zrobić wypisy. Ileż tu zdań, które nas łupią w łeb swoją precyzją i prawdą.

Notuję: „Mówi się do kogoś jasno, prosto, tak najprostszymi myślami, tak zrozumiałymi, zdawałoby się, językiem. To wszystko usuwa się niby o lśniącą powierzchnię, o takie jakieś wielkie, zasadnicze nieporozumienie, o tak naiwny puklerz wiary w oparcia nie istniejące, o kanony tak nierealnych w danej sytuacji prawd, o restrykcje zasadnicze, które siepiąją się przecież o drobiazg

wobec całokształtu kwestii, której się nie jest w stanie rozmówcy unaoznaczyć. Rece wtedy opada...”

Notuję dalej: „Wytworzyliśmy bogate słownictwo pogardliwych słów. Trudno z takim bagażem powszechnej zgryźliwości i braku zaufania poczynać pracę...” Polak musi dopiero pracować, by w oczach rodaków dojść do zera, od którego dopiero może się drapać na plus...”

Albo problem — kult niekompetencji i piniowanie swoich kompetencji: „skoro o objęciu stanowiska decydował przewilej, kompetencja stawała się rzeczą wtórną”. Tak pisze Wańkiewicz w roku 1947 odnosząc rzecz prosta te słowa do czasów Drugiej Rzeczypospolitej. „Równocześnie z tym pilnowało się na-

miętnie „swoich kompetencji”, to znaczy po prostu swoich przywilejów. Przy wszelakich reorganizacjach nie zdarzyło się, żeby urząd któremu chcą coś ująć zgodził się na to...” Brac referencja czy innych subalternów grupowała się koło „swojego”, który im patronował. A „swoją” byłby złym zwierchnikiem, gdyby dał uszczuplić kompetencje — nowoczesny przywilej...”

Oto jak analizował Wańkiewicz mechanizmy międzywojennej, Drugiej Rzeczypospolitej. „Czemu stukający młotkiem w żelówkę szewc wykrzywił się z lekceważeniem, z obrazą osobistą niemal i poczuciem krzywdy, kiedy się dowiedzie, że kanonik został pralatem? — pyta Wańkiewicz. „Skąd się bierze ten wielki zapas niechęci

człowieka do człowieka, tego co ja bym nazwał bezinteresowną zawiścią?”

Właśnie. Czemu? Skąd? Ta książka stawia diagnozy i analizuje mechanizmy — ale także stawia pytania. Na wiele z nich odpowiadać musimy sobie sami.

Wańkiewicz żartuje sobie na kartach tej książki z ludzi, którzy mówili mu o jego książkach z zachwytem, ale wyznawali, że nie potrafili napisać recenzji z tego kipiącego pasją tomu. Mogę się nim tylko zachwycić, mogę podziwiać i podkreślić czerwonym ołówkiem całe zdania i strony — aby nie zapomnieć, aby nie uronić nic z tej mądrości pisarza.

JERZY WILMAŃSKI



# SAMOBÓJSTWO CZY ZABÓJSTWO?

Ambrose Long — bogaty wdowiec  
Angelica Long — jego córka  
Sandra Long Budlock — jego młodsza córka  
Oliver Budlock — mąż Sandry  
Peter Trust — detektyw prywatny  
Louis Parker — porucznik policji  
Naigher — adwokat

W pewnej chwili przestałem oglądać przedmioty na wystawie i w odbiciu szyby obserwowałem kobietę, która powoli odwróciła się w moim kierunku. Kształtna blondynka o migdałowych oczach uśmiechnęła się.

— Dzień dobry! — powiedziałam. — Jaka dziś wspaniała pogoda!

Kobieta odeszła od wystawy, poszedłem za nią. Była godzina 9,45, wiosna na Piątej Ulicy, a ja byłem prywatnym detektywem szukającym pracy. Lecz teraz interesowała mnie tylko perspektywa idylli z piękną nieznajomą.

— Nazywam się Angelica Long przedstawia się.

— A ja Peter Trust. — Wziął ją pod rękę.

— Jeśli pan pozwoli pójdziemy teraz do mojego ojca.

Tego naprawdę się nie spodziewałem!

Nie nie mówiąc poszliśmy do Madison, a potem windą do mieszkania położonego w wieży.

Dziewczyna zapukała delikatnie do drzwi.

— Ojciec jest chory, — wyjaśniła. — Boję się go zbudzić, może śpi.

Nikt z pokoju nie odpowiadał. Wróciliśmy do windy, Angelica nacisnęła guzik.

— Mój ojciec śpi — rzekła do chłopca obsługującego windę, — poproszę pana o klucze.

Wrócił po chwili z kluczami, otworzył nam drzwi. Weszliśmy do przedpokoju a potem do salonu. Chłopiec odszedł zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

W pobliżu okna stał fotel na bieżących. Siedział w nim silnie zbudowany mężczyzna, z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Nie słyszał, jak weszliśmy.

— Spi — szepnęła dziewczyna. — Proszę iść za mną.

Weszliśmy do pokoju sypialnego. Położyłem kapelusz na łóżku i usiadłem w fotelu.

— Czy pan to przyniósł? — zapytała.

— Co takiego?

— Kołczyk.

— Co?!

— Mój kołczyk.

— Jaki kołczyk? Nie nie rozumie!

Poderwała się na nogi, wzięła swą torebkę i podała mi wycinek z gazety.

Przeoczyłem: „Jeżeli pani, która zgubiła kołczyk na balu Błękitnej Wróżki, znajdzie się między 9 a 10 przed sklepem Farmera, aby zidentyfikować swą własność, z przyjemnością zwrócę jej ten kołczyk”.

— Bardzo mi przykro.

— Dlaczego?

— To nieporozumienie. Szedłem ulicą, zatrzymałem się przed sklepem Farmera. Przyglądałem się leżącym na wystawie słodyczom i pani też się przyglądała. Potem zobaczyłem panią... I to wszystko...

Włożyła wycinek z powrotem do torebki.

— Tydzień! To jest przedmiot o dużej wartości, co prawda ubezpieczony, ale byłabym szczęśliwa, gdybym go mogła odzyskać. Podarunek od mojej matki.

— Ile kosztował?

— Każdy z kołczyków jest ubezpieczony na dziesięć tysięcy dolarów.

— Jak go pani zgubiła?

— Dlaczego?

Pokazałem jej kartę detektywa.

— Ach tak... — zdziwiła się. — Mógłbym się przydać, czasem mi się coś udaje rozwiązać. — Poszłam na bal z Oliverem we wtorek wieczorem. Może wypiliam za dużo. W pewnej chwili spostrzegłem, że nie mam

kołczyka. Szukaliśmy go bez skutku, dopóki nie pojawiło się ogłoszenie w gazecie. Przeprowadziłam pana tutaj, ponieważ drugi kołczyk zostawiłam u ojca, który miał pertraktować ze znalazcą. Gotów jest dać wysoką nagrodę.

— Kto to jest Oliver?

— Mój szwagier, Oliver Budlock.

Wziąłem kapelusz, który leżał na łóżku. — Proszę mi wybaczyć. — To tylko moja wina. — Można temu zaradzić. Niech pani opublikuje w gazecie drugie ogłoszenie.

— To dobra myśl. Dziękuję.

Wróciliśmy do salonu. Przyglądałem się panu Long, pozostał dokładnie w tej samej pozycji. Lewa ręka zwisała, prawej nie widziałem. Zbliżyłem się do niej, była zaciśnięta wokół pistoletu.

Uniosłem mu głowę i spojrzałem w twarz: ojciec Angeliki nie żył...

Zaprowadziłem kobietę do drugiego pokoju i powiedziałem jej o tym. Następnie zatelefonowałem do wydziału zabójstw.

Obejrzałem teraz zwłoki dokładniej. Nie mogłem znaleźć rany. Wreszcie zobaczyłem w okolicy paska dwa przypalone otwory. Wsunąłem rękę do kieszeni zmarłego i wyciągnąłem przepiękny kołczyk z trójkątnym smaragdem.

Zaniosłem kołczyk Angelice. Włożyła go do torebki i zemdlała. Ułożyłem ją na łóżku.

Niedługo przybył porucznik Parker. Jego ludzie wzięli się do pracy, lekarz badał zwłoki.

— Kiedy Long zmarł? — zapytał Parker, gdy wróciliśmy do sypialni.

— Nie więcej niż przed godziną — stwierdził lekarz. — Oparł pistolet o żołądek i strzelił dwa razy. Jutro przedstawie obszerny raport.

Porucznik zwrócił się do pani Long.

— Chciałbym wiedzieć, czy ojciec mógł mieć jakiś powód, który by go skłonił do samobójstwa?

— Tak — szepnęła biała Angelica.

— Przepraszam, ale muszę pani zadać kilka pytań.

Porucznik pytał, Angelica odpowiadała. Ambrose Long był wdowcem, liczył sześćdziesiąt cztery lata. Miał dwie córki, Angelikę i Sandrę, żonę Olivera Budlock. Angelica mieszkała w Nowym Jorku, gdzie studiowała muzykę, a Sandra i Oliver w New Hampshire, w domu o trzydziestu czterech pokojach.

Pewnego dnia Ambrose zachorował. Lekarze postawili diagnozę, że choroba jest nieuleczalna i że zaatakowała już cały organizm. Przed tygodniem udał się do Nowego Jorku z Oliverem (Sandra pozostała w domu), wynajął mieszkanie w wieży, a Oliver otrzymał dwa pokoje na szesnastym piętrze. Postanowili zostać w ho-



Fot. A. Pukaczewski

telu przez miesiąc. Long chciał poddać się kuracji przed wyjściem do szpitala na operację. Miał też załatwić pewne sprawy. Tak, odczuwał przejmujące bóle, był bardzo przygnębiony. Mówił często o samobójstwie, spisał ze sobą rewolwer, właśnie ten, którym się zastrzelił.

— Dziękuję pani — rzekł Parker i zamknął swój notes z miną człowieka, który uważa sprawę za zamkniętą. Wstał i rozkazał policjantowi, żeby przyprowadził Olivera. Lecz nikt nie mógł go znaleźć.

— Gdzie jest Oliver? — zapytał Parker zirytowanym tonem. — Na wystawie kwiatów — odpowiedziała Angelica. — Szaleje za orchidejami.

— Jakie sprawy miał tu załatwić pan Long? — zapytał detektyw.

— Nie wiem — rzekła Angelica.

— Jak... się nazywają jego adwokaci w tym mieście?

— Naigher — i Naigher, mają biuro w Lincoln Building.

— Dziękuję — powiedział Parker.

— Dave, odprowadź pannę Long do domu zwrócił się do policjanta.

Kobieta i ja uściśniliśmy sobie dłonie.

Nikogo nie było już w salonie. Policjanci skończyli pracę i wynieśli zwłoki. Parker usiadł w fotelu żując cygaro. Na jego prośbę musiałem zawiadomić Sandrę o tym, co zaszło.

— A teraz proszę mi powiedzieć, Trust, skąd się pan tu wziął.

Opowiedziałem mu całą historię od momentu, gdy spotkałem Angelikę przed sklepem Farmera.

— Dobrze — zgodził się porucznik. — Niech pan wyłoży mi obecnie swoją teorię tego wypadku.

Usadawiłem się przed nim i zacząłem mówić.

— Kto się zabija pistoletem nie strzela w dolną część ciała, lecz celuje w górę.

— Prawda.

— W czoło, w usta, w oczy.

— Właśnie tak.

— Jeśli strzał został skierowany ku dołowi, popełniono zabójstwo, a nie samobójstwo.

— Teoretycznie jest tak.

— Samobójcy działają instynktownie, wiedzą, że kula w żołądek wywołuje straszliwe bóle przed śmiercią.

— Ale wyjątki zawsze istnieją, prawda? — zauważył Parker.

Wszystko przemawia za moją tezą. Szczególnie ta plama krwi na podłodze znajdująca się o trzy metry od fotela, na którym zastaliśmy zwłoki. Long został zastrzelony tam, gdzie widzimy teraz plamę. Co pan na to?

Parker zaczął chodzić wzdłuż pokoju. Przysiągłbym, że zgadzał się z moim poglądem!

Nagle zwrócił się do mnie aroganckim tonem:

— A może nasz Sherlock powie kogo podejrzewa o mord? — Mogę na pewno powiedzieć. — Więc kto? — Oliver Budlock.

— Czy pan go zna?

— Nie znam.

— Czy pan go gdzieś widział?

— Nie.

— A więc dlaczego?

— Postępuję jak Sherlock, czyli dedukuję.

— Musi pan mi pomóc, ponieważ nie czuję się zbyt pewny. Jasne jest, że nie chodzi tu w rachubę kradzież, prawda?

— Prawda.

— I nie uczynił tego ktoś obcy.

— Dlaczego?

— Ponieważ Long został zabity jego własnym rewolwerem.

— Niech pan zacznie od początku, powoli.

— Przypuśćmy, że chodzi o nieznanego, który chce zabić Longa. Dzwoni do drzwi, Long otwiera. Nieznajomy strzela. Lecz użyłby swego rewolweru.

— Dobrze, ale przypuśćmy, że ten człowiek nie chciał zabić, że zaczął się kłócić. Long wyciągnął pistolet, a mężczyzna wyrwał mu go z ręki i strzelił dwa razy. Potem uciekł.

— Nie mogę przyjąć tej wersji. Gdy wszedłem tu nie widziałem żadnego śladu walki. Czyż obcy człowiek miałby czas zajmować się układaniem trupa w fotelu, porządkowaniem mieszkania, wycieraniem śladów odcisków?

Porucznik zbliżył się do mnie z rękami założonymi na plecach. — A więc?

**Dokończenie nastąpi**



Lewym  
okiem

## TYSIĄC SIÓSTR I PIĘCIU BRACI

Wciąż bardzo dużo mówi się o wyzwoleniu kobiety, o jej równouprawnieniu, o tym jak to powinno wyglądać. Minął co prawda czas plakatów z uśmiechniętymi traktorzystkami, dziś już wiemy, że narażanie organizmu kobiecego (innego niż męski i tej inności nikomu nie wolno przeczyć) na szarpaninę i gwałtowną huśtawkę na siedelku traktorowym powinno być raczej karane mandatami behapowców, niż sławione jako wyraz zrównania płci. Ale i bez tych plakatów mówi się ciągle o tym, że nie ma zawodów niedostępnych dla kobiet, że mogą wybrać sobie specjalność dowolną, wymarzoną, wydumaną, że w każdej mają nareszcie równe szanse. Ha, czytaliśmy właśnie o pięciu dziewczętach przyjętych do szkoły morskiej. Taki handlowy statek płynie sobie parę miesięcy, uwija się po nim stu młodych zdrowych mężczyzn i jedna — dwie

dziewczyny. Ja się nie gorszę. Ale niech się też nikt nie dziwi i niech nie ignoruje małej różnicy płci. Ona się zignorować nie da i te dziewczyny — marynarki będą w innej sytuacji niż chłopcy — marynarze. I nie będzie równych szans, żebyście nie wiem jak chcieli.

Niektóre zawody sfeminizowały się doszczętnie i z prawa równych szans skorzystały w ich wyuczeniu niewiasty. Są jeszcze panowie, którzy cierpiąc na przykład na hemoroidy wolą się nie wypinać przed młodą piękną kobietą o niebieskich powiekach i takich długich rękach. Cóż, kiedy znam całe ośrodki zdrowia, w których jedynym mężczyzną jest szatniarz. W szkolnictwie, w farmacji, na wszystkich filologiach, historiach, psychologiach i socjologiach — same kobiety. W uczelniach artystycznych — przynajmniej większość kobiet. Nikt ich ani do tego nie zachęca, ani im ulgowych warunków nie stwarza — widocznie lepiej zdają egzaminy wstępne. Żeby zmienić proporcje trzeba by zatem wymyślić jakieś protekcyjne przepisy dla mężczyzn, limity, przydziały, bo ja wiem?

A tymczasem, póki nie ma żadnych formalnych rozdzielników ani limitów, związanych z płcią delikwentów, stan faktyczny wygląda tak:

▲ dziewczynom, studiującym elektrotechnikę, co drugi pan profesor i prawie każdy pan asystent uprzejmie a często przypomina, że pomylili się w swych rachubach na przyszłość, że ich rola jako kobiet polega na czymś całkiem innym niż studiowanie, że lepiej niech sobie i innym dadzą spokój;

▲ kandydatki do szkół plastycznych straszą oficjalni przedstawiciele uczelni, że to robota nie dla kobiet, że trzeba dźwigać wielkie elementy, rąbać, piłować, przybijać;

▲ w uczelniach rolniczych nie omieszka się uprzedzić dziewczęta, że nie sprostają oczekiwaniom, że są za słabe i delikatne na to, żeby kopać, nawadniać i sztucznie inseminować;

▲ w chemii wyzywają się tak trując, że pchanie się na ten wydział płci słabej jest potwornym nieporozumieniem;

▲ ekonomiści muszą wiele jeździć na konferencje; czy kobieta może spędzać trzecią część życia poza domem, zostawić męża na pastwę koleżanek, dzieci podać wstecznym wpływom teściowej? niech się lepiej zastanowi i wycofa wniosek o przyjęcie na studia.

Jest wielu asystentów, którzy nie tylko ideowo niechętni są słuchaczom płci żeńskiej, ale czynnie tę niechęć realizują — na przykład ostrzejszym egzaminowaniem, stwarzaniem przeróżnych trudności a to w terminach, a to w wyborze tematu itp. Sprawy są cieniutkie i nieuchwytne, nie ma mowy o jakichkolwiek formalnych podstawach do czynienia komukolwiek konkretnych zarzutów. Ale atmosfera jest.

Być może, że należałoby jednak uczciwie i jasno postawić sprawę: ten zawód — tylko dla panów. Są zawody, gdzie argumentacja takiej zasady byłaby łatwa i nikogo nie dyskryminująca (myślę, że trzeba by tu uwzględnić na przykład zawód marynarza). O innych zawodach równie uczciwie może być trzeba powiedzieć: potrzebujemy tylu lekarzy i tyle lekarzek; tylu betoniarzy i jedną betoniarke; tysiąc górników węglowych i pięć górniczek odkrywkowych; a znów w przedszkolach i szpitalach — tysiąc sióstr i pięciu braci. A może jeszcze inaczej, ale żeby jasno, bez półśmieszków, niedomyślnie i przekąsu czyli ironii. Bo dopiero ona dyskryminuje, nie?

CWIEK